

TYGODNIK LITERACKI

Nr 3 ■ Rok I ■ 1 LIPCA 1990

Nr indeksu 379689 ■ Cena 1500 zł

w numerze: BIENKOWSKI □ KOZIOŁ □ KUNZE □ ŠKVORECKÝ

oraz: BARAŃCZAK, BUREK, GRUPIŃSKI, KOEHLER, MAKAREWICZ, OSEKA, PAZ, PAŹNIEWSKI, STALA, TOMCZYK

Difficile est satiram non scribere

— Czy mógłby Pan przedstawić Czytelnikom polskim najważniejsze ośrodki wydawnicze czeskiej emigracji? Z pewnością do najbardziej zasłużonych zalicza się oficyna Sixty-Eight Publishers Co., której jest Pan twórcą i współwłaścicielem...

— Najpierw małe sprostowanie — nie jestem współwłaścicielem Sixty-Eight, ponieważ nie należy ono ani do mojej żony, ani do mnie. Jest to instytucja deficytowa, w zasadzie charytatywna, na czele której stoi rada nadzorcza z profesorem Skillingiem jako przewodniczącym. Moja żona pełni w tym wydawnictwie funkcje menedżera, ja zaś jestem redaktorem.

Jeśli chodzi o inne wydawnictwa. Do najstarszych należy, obok naszego Sixty-Eight, „Index” w Kolonii. Oba powstały na bazie emigracji czeskiej po roku 1968. Starszy od nas jest tylko „Velehrad” w Watykanie, istniejąca już od wielu lat oficyna sponsorowana przez Kociół katolicki. Wkrótce po nas pan Pasek założył w Szwajcarii wydawnictwo „Konfrontace”, które funkcjonowało około dziesięciu lat. Ponadto w Monachium istnieje wydawnictwo specjalizujące się w publikacjach poetyckich „Poezie mimo domov”, założone i kierowane przez Daniela Stroza. Z kolei monachijska oficyna „Arkyr”, którą stworzył pan Jadrný-Pokorný, promuje

rozmowa z Josefem Škvoreckim

przede wszystkim eseistykę literacką, zresztą na bardzo wysokim poziomie. W Londynie istnieje wydawnictwo „Rozmluvy”, kierowane przez Alexa Tomskiego, które początkowo ograniczało się do literatury religijnej oraz do kręgu autorów katolickich, jak na przykład Jakub Deml, Jaroslav Durych czy Josef Pekar, ale z czasem poszerzyło profil i wydawało między innymi prozę Ivana Klimy. W Holandii działało przez krótki czas wydawnictwo „CCC Books”, publikujące książki na temat komunistycznych łagrów. Niedawno w Bonn powstało wydawnictwo Karela Hviždali „Karel Ritter Verlag”, gdzie ukazują się rozmowy Hviždali z czeskimi pisarzami, jak na przykład z Václavem Havlem czy Pavlem Landovským. Myślę, że wymienię wszystkich najważniejszych wydawców. Oczywiście, to tu, to tam powstawały efemeryczne oficyny, które opublikowały tylko jedną lub dwie książki. Wie Pan, na Zachodzie każdy może założyć takie wydawnictwo bez najmniejszych problemów.

dokończenie na s. 16



rys. JACEK GAWŁOWSKI

Jan Prokop

Upadłe Miasto

Pewien czarnowidz powiada, że nikt już w Polsce nie umie chodzić bez laski, a zatem po co „wybijać się na niepodległość”. Jeszcze nie tak dawno nasi najtężsi stratedzy zamiast wziąć „całą władzę” („wsia włast’ sowietam” radził Włodzimierz Iljicz) wystraszyli się jak dzieci i ubłagali generała Jaruzelskiego, aby nas nie opuszczał... Jak zatem może dziwić, że niejednemu iza się w oku kręci za gierkowskim mecenasowaniem nad literaturą i sztuką, oraz że wielu spogląda w stronę minister Cywińskiej w nadziei, że wróca lata pięknej młodości z imprezami fundowanymi przez MRN w Kłodzku, czy Kłobucku. A tymczasem czeka nas najprawdziwszy krwiożerczy tygrys wolnego rynku kultury. Zapisywanie się do „slusznego” związku również

nie poratuje, bo skończyły się zapomogi i stypendia. Pracując ongiś u francuskiego wydawcy i księgarza (jako tragarz) byłem świadkiem rozmowy mojego patrona ze śmiałkiem, proponującym mu wzięcie w komis tomiku wierszy, które ów przysły Lautréamont wydał był nakładem własnym... Rolę tę przyjdzie teraz — być może — odgrywać naszym kolegom przed kamiennym obliczem warszawskiego czy krakowskiego Gallimarda. We współczesnych Włoszech liczy się w literaturze pięć, no może dziesięć nazwisk i tylko ci ludzie są w stanie wyżyć z własnych książek, nie dorabiając dziennikarką, filmem, wykładami uniwersyteckimi... Ruch wydawniczy w szczęśliwej Europie Zachodniej adresowany jest do określonego klienta kupującego albo ko-

miks i cine-romans, albo publikacje najogólniej mówiąc „edukacyjne”, jak choćby ilustrowane encyklopedie dla pięcioletnich czy pięćdziesięciolatek na temat ryb słodkowodnych w Brazylii, trujących grzybów na Borneo czy wojen religijnych w okresie Reformacji. Wydawca, który chce wyjść na swoje, rzadko będzie zatem ryzykował inwestując nawet niewielkie sumy w nieznanego debiutanta, skoro na pewno sprzeda Tolstoja, Flauberta, Manna czy Morawie, a przede wszystkim autorów i książki wchodzące w zakres programów szkolnych i uniwersyteckich. Lokomotywą, która ciągnie ruch wydawniczy nie jest więc „literatura piękna”, ale właśnie „edukacja”, gdyż ludzie na Zachodzie pragną się kształcić (większość zresztą nie tyle w poszukiwaniu „prawdy o świecie”, co raczej w celach praktycznych — chcą zdobyć dyplom renomowanej uczelni, aby łatwiej znaleźć pracę). U nas w latach „polityki kulturalnej” lagodnego gierkizmu uważano twórców za żywioł z natury niepewny, a więc zagrażający porządkowi publicznemu ale stosunkowo — w przeciwieństwie do strajkujących robotli — nietrudny do spacyfikowania małym kosztem: półrocznym stypendium z funduszu ministra,

wydaniem tomu nijakich, nikomu nie wadzących wierszyków etc. Twórca czuł się uhonorowany i znał odtąd mores wobec swego dobroczyńcy.

Zachodni świat w gruncie rzeczy stracił dzisiaj zainteresowanie dla „wzniosłej sztuki pisania”. Panie Bovary, które kupowały romanse Balzaka, Sand czy Waltera Scotta, poezje Musseta czy Lamartine’a wymarły dość dawno, zaś ich prawnuczki oglądają telewizję lub owe, do oglądania raczej niż czytania cine-romans i komiksy. Spadkobiercom „wysokiej” postawangardowej literatury wypada współczuć. Niewielu bierze serio twórczość prezentowaną w elitarnych pismach, nabywanych zresztą głównie przez bogate biblioteki uniwersyteckie...

Skoro więc literackie menu składa się z tak szczególnych dań, inteligentni młodzi ludzie tracą nawyk czytania nie tylko poezji, zgorzkniałej w lingwistycznych łamańcach totalnej kontestacji, ale i poniekąd tego, co nazywa się po angielsku „fiction” — a więc po naszymu proza powieściowa. Woła esej historyczny, filozoficzny, często zresztą autorstwa wielkich klasyków tego gatunku: Freuda, Junga, czy Hannah Arendt...

dokończenie na s. 8

Zbigniew Bienkowski

Esteta i Scyta

Istnieją zjawiska sztuki, które budzą natychmiast życzliwe, przyjazne lub wręcz entuzjastyczne reakcje publiczności. *Sny o potędze* Leopolda Staffa dały od razu dwudziestotrzyletniemu poecie rozgłos, wstęp do rosnącej z każdą nową książką sławy. Na skromny konspiracyjny tomik wierszy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego entuzjazmem odpowiedział Kazimierz Wyka, którego „List do Jana Bugaja” stworzył na oścież młodziutkiemu poecie historię polskiej literatury. Za debiutancki *Poemat o czasie zastygłym* Czesław Miłosz otrzymał bardzo prestiżową wówczas nagrodę wileńskich literatów. Czym wytłumaczyć tę temperaturę odbioru i natychmiastową popularność? Oczywiście, popularność każdego z podanych przykładowo zjawisk ma inny zakres i inną genezę, i nie zamierzam na nie rozciągać znanej opinii Eliota określającej popularność jako podejrzane kryterium wartości. Wprost przeciwnie, chciałbym wątpliwość tego kryterium podeprzeć nie tylko społeczną, ale także estetyczną racją.

Zjawiska te spełniały oczekiwania, zaspokajały potrzebę, ale także — i przede wszystkim — uwiarygodniały swoim przykładem wartości stałe, tworzące tradycję kultury. Obsiewały jakby przygotowany grunt, trafiały na oraną, uprawianą, kultywowaną glebę. Ich przyjęcie nie spotykało oporu, dawało od razu satysfakcję. Ich wzorce artystyczne zostały sprawdzone, zaakceptowane i wchłonięte przez czas kultury. Miały tę przewagę nad rówieśnikami czy równoległymi zjawiskami sztuki, że nie zmuszały swoich odbiorców do ryzykownych, nieobliczalnych i być może nieopłacalnych myślowych skoków i emocjonalnych dewiacji. Ich nowość polegała na doskonaleniu, korygowaniu, dostosowywaniu istniejących wzorców estetycznych do wyrażania nowych treści.

Poezja Staffa szła tropem ekstazy modernistycznej, szła tropem biologizmu Skamandra, by zatrzymać się na świeżych śladach Różewicza w *Wiklinie*. Staff orkiestrował nastrojowe trele moderny, dyscyplinując rozkieltnianie ładem harmonii; biologizmowi Skamandra wszczepił mięsień duchowości, Różewicza zdążył już tylko zaakceptować w całości.

Akceptujący stosunek Baczyńskiego do dziedzictwa romantycznego stał się z kolei źródłem akceptacji jego poezji przez współczesnych, wychowanych na tym dziedzictwie. Nie istniała żadna bariera, żadna granica, nie mówiąc już o przepaści do pokonania. Kazimierz Wyka, pisząc swój słynny „List do Jana Bugaja”, będący już na wstępie, na początku drogi konsekracją poezji Baczyńskiego, przemówił nie tyle jako krytyk, co, a może przede wszystkim, jako historyk literatury. Historyk literatury, znawca całego dziedzictwa polskiej poezji ukierunkował wrażliwość krytyka. Wyka dostrzegł w poezji Baczyńskiego ciąg dalszy, kontynuację. Wypowiedziany wówczas sąd o cudownej dojrzałości poety dotyczy dojrzałości jego poetyki. W dojrzałości

Baczyńskiego zawarta jest dojrzałość Słowackiego, dojrzałość romantyzmu, którą poeta w pełni zaakceptował i przejął. W rezonansie poezji Baczyńskiego słychać powszechną akceptację romantycznego kanonu sztuki. Nie darmo Jerzy Zagórski nazwał Baczyńskiego Królem Duchem, dziedzicem olbrzymiej tradycji.

Miłosz z kolei wyraził powszechnie odczuwany niepokój o jutrzejszy dzień świata. Wyrzcił go w skali dostępnej, nie wizjonerskiej, w skali jednostkowego przeżywania. Nie on jeden był wówczas katastrofistą, i nie on był katastrofistą pierwszy. Silniej niż w *Trzech zimach* nadchodzący koniec epoki wieścił Jerzy Zagórski w *Ostrzu mostu*, w *Przyścielu wroga*, a przede wszystkim Aleksander Rymkiewicz w *Tropicielu*. Lecz ich katastrofizm był katastrofizmem wizjonerskim, kasandryjskim, a katastrofizm Miłosza był elegijny, równoważony i uwiarygodniony egzystencjalnym jego doznaniem.

W tym samym czasie, w którym powstawały poezje Staffa, Baczyńskiego, Miłosza, powstawały poezje nieprzystawalne do wrażliwości współczesnych. Równoległe z poezją Staffa rosła poezja Leśmiana, równoległe z poezją Baczyńskiego — poezją Gajcego, równoległe z poezją Miłosza — poezją Przybosa. Żadna z nich nie była popularna, żadna z nich nie spotkała się ani ze społeczną, ani z estetyczną akceptacją. Były dzikie, „fauvistyczne”. Wprowadzały dysonans do panującej ostatecznej harmonii.

Należałoby nie tyle zrewidować zawartość, co wyostrzyć stosowane pojęcie estetyzmu. Estetyzm w sensie jeśli nie zarzutu to wyrzutu przywarł do zjawisk proponujących „nowe”, bo głównym celem nowości ma być rzekomo nowa konstrukcja formalna. A przecież nowość, inność formy jest tylko konsekwencją eksplozji myśli i emocji nie mieszczących się w zastanych strukturach estetycznych. Estetami są raczej ci, którym udaje się dochować wierności estetycznym wzorcom, którzy potrafią swoje uniesienia dostosować do liturgii obrzędowej. „Esteta czy Scyta” zastanawia się Artur Sandauer w studium o poezji Przybosa. Rozciągam tę antynomię. Każde nowatorstwo jest z zasady antyestetyczne, bo każde jest przede wszystkim barbarzyństwem.

Kunstsztowi formalnemu, parnasistowskiej rafinadzie moderny Leśmian przeciwstawiał bylejakość, karkołomną nieokreśloność, czyniąc z wykalkulowanej nieprecyzji instrument wyobraźni. Ostentacyjne barbarzyństwo. Dopiero drugie, trzecie pokolenie dociekliwością Sandauera dojrzało w tym barbarzyństwie nie formalny zabieg a sens Leśmianowskiej filozofii. Potoczystości Baczyńskiego, poetyce postromantycznej ekstazy Gajcy przeciwstawił szorstkość, akulturową kontaminację doraźnego z nieprzemijającym, tworząc jakąś eschatologię scytyjskiej wyobraźni. Dopiero drugie pokolenie wrażliwością Jerzego Kwiatkowskiego pojęło przenikliwą mądrość tej kontaminacji.



rys. JACEK GAWŁOWSKI
T-503/g-1

Te antynomie łagodzi czas. W Leśmianowskiej bylejakości dostrzegamy już precyzję sztabowej mapy wytyczającej granice między bytem i niebytem, a w szorstkości Gajcego instrument historiozofii.

Antynomiczność wzorców poezji Przybosa i Miłosza wciąż nie słabnie. Czas nie łagodzi, nie zbliża a oddala je wzajemnie. Te dwie poezje jako wzorce doznawania świata nadal dzielą wrażliwości. Niemożliwa jest akceptacja jedną chłonnością sztuki obu tych poezji. Są nie do pogodzenia.

Poezja Miłosza ogarnia szeroki obszar idei, docierając wszędzie, gdzie sięga świadomość kultury. Jest narzędziem myślenia historiozoficznego, metafizycznej zadumy, argumentem ideologii, środkiem politycznej polemiki. Jest aktywną w procesie formowania się postawy obywatelskiej i ludzkiej współczesnego Polaka. Jest narodową pamięcią, oskarżeniem i wezwaniem. Jej humanizm jest dydaktyczny. Miłosz nie unika gotowych idei funkcjonujących w kulturze i nimi określa siebie, swoje miejsce w świecie, swoje powołanie artysty. Słowa dla swojej poezji czerpie ze słownika idei.

Poezja Przybosa nie zna gotowych idei. Nie mówi o świecie, nie historiozofuje, nie filozofuje, nie ustawia drogowskazów, nie wychowuje. Jej ekspresja, jej energia obrazowa kreuje, stwarza świat w każdej jego rzeczy za każdym razem, w każdym wierszu od nowa, od podstaw. Jest to poezja jakby pierwiastkowa, w której zjawisko tak samo fizyczne, jak psychiczne, czy metafizyczne ma swoje genetyczne źródło. W niej dopiero rodzi się do istnienia, staje się rzeczą, przedmiotem, bytem, aby rozwinąć się w ideę, wzruszenie, doznanie myśli i emocji. Każdym wierszem poeta objawia się sobie w lustrze reakcji. Humanizm poezji Przybosa nie jest jej statusem kulturowym lecz jednorazowym ponawianym aktem energii. Słowa do swojej poezji Przybos nie czerpie ze spisu pojęć. Gleba jego mowy jest wzruszona, niestabilna, jakby pod nią trwało nieustające trzęsienie ziemi.

Popularność poezji Miłosza jest faktem społecznym i estetycznym. Jest ona zrozumiała i zasłużona. Nieakceptacja poezji Przybosa została zaprogramowana postawą scytyjską poety. Jest ona

także faktem społecznym i estetycznym. Są to jakby dwie — lewa i prawa — jasna i ciemna — strony jednego zjawiska.

Ani Nobel Sienkiewicza, ani Nobel Reymonta nie spustoszył krajobrazu literatury. Sława światowa tych pisarzy nie osłabiła w najmniejszym stopniu rezonansu Prusa, Żeromskiego. Nobel Miłosza uczynił pustynię wokół niego. Zamiast być tym czym jest w swojej intencji, rozświetleniem w świecie tej poezji, stał się dodatkowo kryterium, probrzem wartości, zniewoleniem zmysłu krytycznego. Złożyły się na to zapewne inne jeszcze czynniki, status Emigranta, aktywność polityczna poety, dość że faktem jest — paradoks — wyobcowanie w godności tej poezji, która stała się przedmiotem niemal kultu. Jej analiza krytyczna nie schodzi poniżej panegiryku. A panegiryk i pamflet to przecież dwie patologie, dwa nadużycia, dwa objawy tej samej choroby. Poezja Miłosza nie uniknie więc cierpienia. Już są widoczne tego objawy. Powszechna akceptacja, popularność wynoszą na szczyty te jej wartości, które są najłatwiej przyswajalne, jej słabości więc. Wybitne nawet umysły (Błoński, kiedyś Kijowski) wynoszą w tej poezji wartości, a raczej jakości nieważkie, cytując utwory, w których Miłosz dał uproszczony, dziennikarski w istocie obraz współczesnej myśli. Przecież oba *Traktaty* i poetycki i moralny to artykuły zrytmizowane, gdzie satyra zastąpić ma pozorowany sondaż idei. Są to nawet żenujące powierzchowności, jakby „obrazki” z wystawy współczesnych ideologii. A przecież nie są to utwory ukazujące istotę, prawdę poezji Miłosza.

I popularność, i nieakceptacja są jeśli nie piekłem to czyścem poezji. Kto wie, czy popularność nie jest bardziej niebezpieczna. Falszuje, wypacza, zuboża obraz poezji. Nieakceptacja przynajmniej nie niszczy. Ona nawet konserwuje wartości, które w stanie nienaruszonym mogą przetrwać całe stulecie, by wreszcie zajaśnieć pełnym blaskiem. Przykładem Norwid.

W wieńcu Miłoszowej sławy tkwi cierń, którego ukłucie autor *Traktatu poetyckiego* zbyt ostentacyjnie bagatelizuje. Czyżby temu estecie tak boleśnie dolegało barbarzyństwo Przybosa?

Reiner Kunze

Zaproszenie na herbatę jaśminową

Proszę wejść, zrzucić
smutek, tu
można milczeć

1967

Dyryguje Lawrence Foster (Londyn, Royal Festival Hall)

Lewym kciukiem i palcem wskazującym
wskazuje ucho igielne, przez które
przejść musi dźwięk

Batutą
szyje ścieg za ściegiem pierwszą
Szostakowicza — koda to jeden
migot igły

1978

Myśl błagalna u twych stóp

Umrzyj wcześniej niż ja, trochę
wcześniej

Żebyś nie ty
musiała samotnie
wracać do domu

1983



JERZY PANEK

Projekt naszego domu na motywach Alfreda Kubina

Okno twojego pokoju niech ma rzęsy

Progiem domu
będzie syczący wąż (niczyja
śmierć ani rana, tylko

przypomnienie że każdy ma jedno
jedyne życie)

1982

Z „Wariacji na temat poczty”

17.

Być listonoszem

Dzień po dniu
być nadzieją, kimś na kogo
czekają, coś nie do pokonania
pokonywać z każdym
krokiem

Być listonoszem

Dzień po dniu
stawać pod drzwiami ludzi, nie móc
wejść

Z autobiografii

Wierście mi, gdy wieczorem zamknę oczy, wciąż
widzę tamte drogi u was, naszyjnik
pagórków

Dostrzegam kołyszący się medalion:
lisa łapiącego mysz

I myślę ścieżkami
ku głębokim syrenom jeleni (pod księżycem
spadziste łupkowe dachy, bezszelestne
bystrzyny światła)

Ale gdy nagle trafię we śnie tam, dokąd
nie chciałem trafić nigdy więcej, wprawiam się
w kunszt ucieczki: w śnieniu
że śnię

1985

przełożył Jakub Ekier

REINER KUNZE urodził się w 1933 roku w Oelsnitz (Rudawy). Studiował na uniwersytecie w Lipsku, następnie wykładał tam jako asystent na wydziale dziennikarstwa. W związku ze skierowanymi przeciwko niemu oskarżeniami natury politycznej odszedł w 1959 roku z uczelni i pracował później jako pomocnik ślusarski. W roku 1961 ożenił się z czeską lekarką, Elizabeth Littnerową, w następnym zaś zamieszkał z rodziną w Greiz (Turyngia). Odtąd żyje z pióra. Już w latach sześćdziesią-

tych Kunze miał duże trudności z publikowaniem swoich utworów w NRD. Często przebywał w Czechosłowacji, zawierając tam ważne dlań przyjaźnie literackie. Na znak protestu przeciw inwazji na Czechosłowację wystąpił z partii. W 1976 roku wykluczono go ze związku pisarzy NRD. W następnym roku przeniósł się z rodziną do RFN; mieszka w Erlau (Dolna Bawaria).

Otrzymał wiele nagród literackich, wśród nich Nagrodę imienia Buchnera.

Jest autorem wierszy, zebranych głównie w tomach *Widmungen* (Dedykacje, 1963), *Sensible Wege* (Wrażliwe drogi 1969), *Zimmerlautsrke* (Ściszone głosy 1972), *Auf eigene Hoffnung* (Na własną nadzieję, 1981) oraz *Eines jeden einzigen Leben* (Jedyne życie każdego, 1986); książki prozatorskiej *Die wunderbaren Jahre* (Cudowne lata 1976) tomu esejów *Das weisse Gedicht* (Biały wiersz, 1989), książek dla dzieci oraz licznych przekładów, zwłaszcza poetów czeskich (Holan, Seifert, Skácel).

W Polsce ukazał się wybór jego wierszy pod tytułem *Nokturn* (przekład Ryszarda Krynickiego, NOWA, Warszawa 1987) i tom prozy *Cudowne lata* (przełożył Henryk Niżański, Wydawnictwo NZS Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1988). W przygotowaniu są dwie dalsze książki poetyckie Kunzego: *Ponowne spotkanie* (przełożył Piotr Wiktor Lorkowski) i *Być listonoszem* (przełożył Jakub Ekier).

Octavio Paz

Język i abstrakcja

Mówi się od lat, że malarstwo abstrakcyjne sięgnęło swego kresu: dalej już nie da się pójść. Nie wydaje mi się to słuszne; wszystkie wielkie artystyczne kierunki cechują się radykalizmem, dążą wciąż naprzód, ku najdalszym rubieżom, ku ostatecznym krańcom. Ktoś tam dociera, wykonuje skok i odkrywa nową wolną przestrzeń, aby po jakimś czasie znowu trafić na mur. Trzeba go przeskoczyć i iść dalej. Nie ma powrotu.

Czyżby abstrakcja miała stać się nowym akademizmem? Nie jest to istotne: wszystkie kierunki zamieniają się w szkoły, a wszystkie style w manierę. Najsmutniejsze to pozostać w akademii, ale sprawa ma się inaczej, gdy akademii jest punktem wyjścia. Wielcy twórcy baroku oraz manieryści nie zadali kłamu sztuce swych poprzedników; wyolbrzymili ją, poszli dalej. Podobnie było z poezją symbolistów: nie odwróciła się od romantyzmu, ale nadała mu świadomość. Po klasycyzmie pierwszych abstrakcjonistów i romantyzmie „abstrakcyjnego ekspresjonizmu” brak nam manieryzmu, abstrakcyjnego baroku.

Największym niebezpieczeństwem dla malarstwa abstrakcyjnego prowadzącym do wyjałowienia są jego pretensje do bycia językiem, który karmi się samym sobą. Całkowicie subiektywny — jako że tylko malarz



JERZY PANEK

i nikt poza nim nie tworzy, i nie używa go — pozbawiany jest zasadniczego elementu każdego języka: nie stanowi systemu znaków i symboli o znaczeniach wspólnych dla tych wszystkich, którzy ich używają. Kiedy każdy mówi własnym językiem, gdzie łączność a język umiera. Słuchamy dialogu schizofreników. Najlepsi malarze abstrakcyjni znaleźli rodzaj języka powszechnego, odkrywając pewne formy archetypowe, które stanowią najstarszy i wspólny nam wszystkim fundament. Ale czy jest to język? Powiedziałbym raczej, że mamy tu do czynienia z przed-językiem albo — jeśli kto woli — meta-językiem. Malarze abstrakcyjni oscylują między bełkotem a oświeceniem. Choć lekceważą potrzebę łączności, niekiedy porozumienie następuje. Z poezją dzieje się podobnie: poeta nie ma innego wyjścia jak posługiwać się słowami — każde o znaczeniu bliskim dla wszystkich — i z nich tworzyć nowy język. Słowa poety, nie przestając być językiem, a więc porozumieniem, są też czymś innym: właśnie poezją, czymś niesłyszczanym dotąd, nigdy nie wypowiedzianym, czymś co językiem jest a zarazem nie jest, bo sięga dalej. Malarstwo abstrakcyjne chce być czystym językiem obrazowym i w ten sposób odrzuca zasadniczą nieczystość każdego języka: używanie znaków lub form o znaczeniach wspólnych dla wszystkich. Zawiera się w języku, ale też podąża dalej. Czasami zamyka się w milczeniu, innym znów razem wybucha krzykiem (Mondrian lub Pollock). Jest próbą zawarcia w sobie negacji tego, co się zarazem potwierdza. Być może w tym tkwi jego wielkość: tylko ten, kto nie odrzuca własnego przeciwieństwa i rozwija je aż do końca, objawia swą prawdziwą, zawsze dwoistą, naturę.

Uznawszy tę dwoistość, malarstwo abstrakcyjne mogłoby wyjść dalej poza siebie i spełnić się utwierdzając to, co się mu sprzeciwia.

1977

przełożył Rajmund Kalicki

4 TYGODNIK
LITERACKI

Nr 3 □ 1 LIPCA 1990

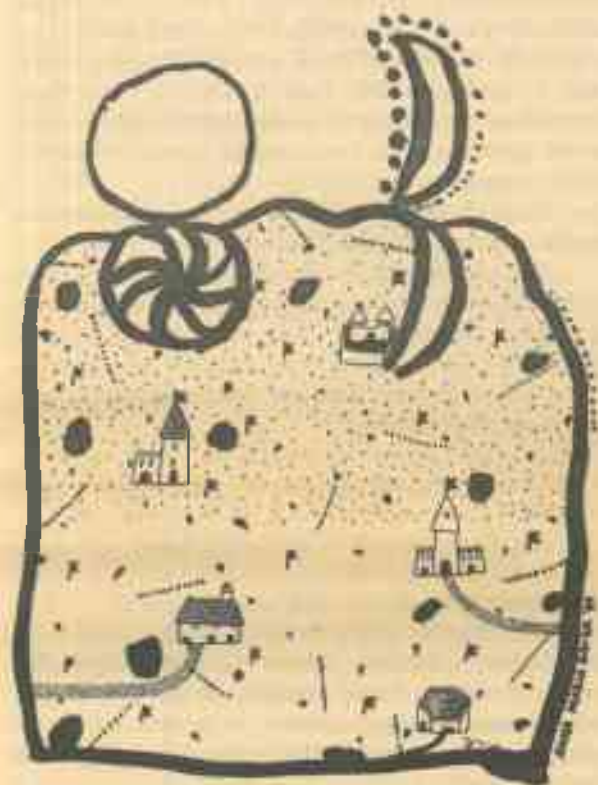
Urszula Koziol

* * *

śnił mi się las
ten las
miał źródłostów iglasty
cały ponawlekany był na samego siebie
i głęboko w siebie
zaszyty.

* * *

księżyc jak haczyk
widocznie znów
niebo zagina na ciebie parol.



ANNA MARIA BAUER

* * *

zapach skoszonych traw
w nic nierobieniu
w gapieniu się na świat
jakże długie to życie.

* * *

oko nieba
podkrążone wieloobłocznie
tego piło się tej nocy.

Jak już wiemy, okres poprzedni zawdzięczał swoją dynamikę ewolucyjną dwóm przede wszystkim czynnikom. Pierwszy to energia nieprawomyślności — ruch zdecydowanego oddalania się od literatury doby stalinowskiej; drugi — rewolucja retrospektywna: odrabianie zaległości i swobodne zagnieżdżanie się mowy poetyckiej we własnej historii. Duch czasu, który tak przemyślnie zaprojektował urządzenie poezji w dziesięciolecie popaździernikowym, jednego wyraźnie zaniedbał: nie przygotował żadnego efektownego scenariusza dla końcowej fazy okresu — fazy wygasania ożywiającego go dotąd impetu. Gdy socrealizm przestał być odczuwany jako zagrożenie, gdy swoboda poruszania się w przestrzeni tradycji nie była już ograniczona przez jakiegokolwiek przepisy, gdy ustalił się pewien garnitur wpływowych poetyk biorących początek z przewrotu październikowego, gdy ukształtowała się nowa konstelacja uznawanych już poetów — byłych aktorów tego

Janusz Sławiński

(2)

Rzut oka na ewolucję poezji polskiej w latach 1956-1980

przewrotu, cóż miało dzieć się dalej, skoro dotychczasowy mechanizm napędzający ewolucję dążeń spełnił swoje zadania i dalsza jego praca stawała się zbyteczna?

Naturalną kolejną rzeczą powinni się teraz pojawić na scenie destruktorzy osiągniętego ładu, młodzi buntownicy szukający dla siebie miejsca na Parnasie zajętym przez poprzedników. Nie mogłoby ich zadowalać — pozwólmy sobie na fantazjowanie — obalenie tej czy innej poetyki z zastanego garnituru. Cóż bowiem z tego, że jakimś neoklasycyzmowi przeciwstawia gwałtownie jakiś nowy romantyzm, czy poezji lingwistycznej — ekspresjonistycznej bezpośredniość? Tego rodzaju przedsięwzięcia w niczym nie naruszałyby porządku, który tu uparcie nazywam normalnym. Doskonale by się w nim mieściły; potwierdzałyby go nawet i umacniały, jako że normalność polega między innymi właśnie na nieograniczonym mnożeniu się poetyk — na ich współzawodnictwie i walce. Każdy rebeliant czy nowator jest tu potrzebny, ponieważ ich usiłowania sprzyjają utrzymywaniu się normalności przy życiu. Toteż owi destruktorzy, których postulują, musieliby pójść na całość: nie w poszczególne poetyki godzić, lecz w to, co stanowi fundament ich możliwego współwystępowania, a więc w samą normalność właśnie. Zakwestionować ją, ogłosić, że jest szkodliwa, odmówić prawa do istnienia — podjąć próbę zniszczenia jej w imię jakichś racji wyższych. I wreszcie dociągając to fantazjowanie do punktu najważniejszego: dążenia takie powinny uzyskać stymulację i życzliwe wsparcie od całego aparatu nadzoru nad publicznym komunikowaniem się, od funkcjonariuszy prowadzących politykę kulturalną państwa komunistycznego — propagandyistów, cenzorów, ministrów, politruków, redaktorów, wydawców. Czy mogli oni bowiem dłużej tolerować tę samowolnie pleniącą się wielorakość mowy — tę dziwną enklawę zakłócającą wymuszone zdyscyplinowanie innych odmian dyskursu, a może nawet zaraźliwą? Czy nie byłoby całkiem zrozumiałe, gdyby starali się położyć kres anarchii, przywrócić porządek — za pomocą środków, które na innych obszarach mowy okazały się skuteczne?

I otóż nic takiego nie nastąpiło. Nikt bynajmniej nie zmierzał do likwidacji enklawy. Wprost przeciwnie. To co poezja sama przedtem zdobyła — teraz otrzymywała jako dar od sprawujących władzę; niechaj będzie autonomiczna, niech sama decyduje o sobie i niech pielęgnuje swoją odrębność. Zostały jej przyznane specjalne prawa jako rezerwatowi mowy wyłączonemu spod restrykcji jakim podlegały sąsiednie dziedziny słowa publicznego. Warunkiem otrzymania przywilejów było jedynie to, że zaakceptuje oferowany jej status; nic więcej. Prawdopodobnie lepiej od kogokolwiek potrafił skomentować ową wspaniałomyślność opiekunów rezerwatu — Pan Cogito, rozmyślający o piekle:

„Najniższy krąg piekła. (...) Jest to azyl artystów pelen luster, instrumentów i obrazów. Na pierwszy rzut oka najbardziej komfortowy oddział infernalny, bez smoły, ognia i tortur fizycznych.

Cały rok odbywają się tu konkursy, festiwale i koncerty. Nie ma pełni sezonu. Pełnia jest permanentna i niemal absolutna. Co kwartał powstają nowe kierunki i nic, jak się zdaje, nie jest w stanie zahamować tryumfalnego pochodów awangardy. Belzebub kocha sztukę. Chełpi się, że jego chóry, jego poeci i jego malarze przewyższają już prawie niebieskich. Kto ma lepszą sztukę, ma lepszy rząd — to jasne. (...) Belzebub popiera sztukę. Zapewnia swym artystom spokój, dobre wyżywienie i absolutną izolację od piekielnego życia”.

O samej idei podtrzymywania przy życiu, a nawet zakładania, takich rezerwatów — w różnych zresztą dziedzinach życia zbiorowego — można by długo rozprawiać, odchodząc daleko od przedmiotu naszej wspólnej uwagi. Wystarczy powiedzieć, że zrodziła się ona w warunkach politycznych postalinowskiego komunizmu jako uszczegółowienie idei szerszej, która w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych występowała pod

rozmaitymi imionami: a to jako zasada konwergencji, a to jako imperatyw pokojowego współistnienia, a to jako postulat odprężenia... Jakkolwiek była nazywana, zakładała — i był to obiektywny wymóg — że strona komunistyczna przedstawi Zachodowi pewne, choćby i wątłe, przedmiotowe dowody na to, że idea ta jest jej rzeczywiście bliska. Takich uwiarygodnień dostarczać miały owe rezerваты — sfery pracy twórczej, wytwórczości i przemysłu rozrywkowego, tak wyglądające, aby mogły być porównywalne z analogicznymi sferami w „drugim obszarze płatniczym”. Porównywalne, to znaczy odpowiadające podobnym standardom, odsyłające do rzekomo ponadustrojowego uniwersum wspólnych wartości, dające więc szansę międzysystemowej kooperacji, konkurencji i wymianie. W niektórych z tych sfer ważnymi czynnikami umożliwiającymi porównywalność pozostają — nieprzyporządkowanie ideologiczne aparatowi władzy, swoboda inicjatywy twórczej oraz nieinstrumentalny politycznie charakter wytworów; czyli, bo to na jedno wychodzi, niewidoczność skutków państwowo-partyjnego nadzoru.

Stosunkowo łatwo o to na przykład w muzyce, tkactwie artystycznym czy w sztuce cyrkowej. Natomiast w wypadku literatury utrzymywanie takich rezerwatów wiąże się z niesłychanymi kłopotami, które stawiają pod znakiem zapytania opłacalność całego przedsięwzięcia. Mowa publiczna należy w państwie komunistycznym do obszarów najpilniej strzeżonych i najgorliwiej kontrolowanych. Poza wyspecjalizowanymi językami nauk ścisłych i przyrodniczych oraz żargonami zawodowymi techniki nic właściwie nie jest tu pozostawione luzem. Mogłoby się to wydawać przesadną ostrożnością władzy; w rzeczywistości jednak wynika z jej kalkulacji całkiem racjonalnych. Wiadomo wszak, że poszczególne typy dyskursów są między sobą wielorako powiązane, że granice je dzielące są przepuszczalne, a do zjawisk zupełnie naturalnych i codziennych należą interferencje i wzajemne upodabniania się dyskursów (treściowe, formalne, a zwłaszcza funkcjonalne). Toteż nie sposób przewidzieć, jakiego rodzaju i gdzie występująca samowola może zacząć rozprzestrzeniać się poza swoim terytorium macierzystym. Następuje wtedy coś, co za Białośzewskim dałoby się nazwać „przerzutem objawu” — sytuacja stawiająca aparat nadzoru wobec nieoczekiwanych trudności. Z małego uchybienia w jednym rodzaju mowy wybucha nieraz wielkie zamieszanie w innym: i tak na przykład niewinnie zrazu roztrząsania tak zwanych spraw drażliwych w narracjach historycznych mogą dawać niepożądaną podniętą całkiem nieliterackim już wypowiedziom godzącym w żywotne sojusze, a nawet w ideologiczne uprawomocnienia ustroju. Tak więc ostrożność jest w najwyższym stopniu uzasadniona — i musi wyrażać się w kontroli równomiernie rozciągającej na całość uniwersum mowy publicznej.

ciąg dalszy na s. 6

Dlaczego zatem w końcu możliwy okazał się rezerwatowy status poezji — w tym uniwersum? Chyba dlatego, że dała się ona wyobrazić jako mowa nie-niebezpieczna, czyli niezaraźliwa dla innych dyskursów, czyli — *nieprzekładalna*. A więc bliska temu wyobrażeniu, jakie na jej temat upowszechniali twórcy nowoczesnej sztuki słowa od symbolizmu poczynając. Nieprzekładalność na jakąkolwiek „prozę” była dla dawnej awangardy podstawowym warunkiem i zarazem gwarantem *nieśluźności* mowy poetyckiej. Argumentację awangardystów znamy aż nadto dobrze: ilekroć poezja z takich czy innych powodów zaczyna żywić się doświadczeniami językowymi powieściopisarzy, ideologów czy filozofów, nieuchronnie wikała się w służebne uzależnienie — w następstwie swej nieprzezornej otwartości pada bowiem, zwrótnie, łupem tych, u których się zapożycza; daje się wtedy łatwo naginać do zadań obcych jej przeznaczeniu — mniej lub bardziej nieudolnie wchodzi w role rozmaitych gatunków nie-poezji i pracuje niejako w ich imieniu: jako opowiadanie, polityczna enuncjacja, moralizatorskie kazanie czy wykład doktryny metafizycznej... Przed popadnięciem w taką pożałowania godną służbę może się uchronić w jeden tylko sposób: gdy będzie pozostawać uparcie niedostępna dla jakichkolwiek prób przekładu czy parafrazy, w rezultacie więc bezużyteczna na zewnątrz swego obszaru, niejadalna dla wszelkiej mowy, która nie jest z nią tożsama.

Zauważmy, że w tej tradycji pojmowania statusu i zadań poezji, tradycji, która bez wątplenia określa świadomość poetów popaździernikowych, opozycja służebność-nieśluźność przysłoniła jakby sprawę wobec niej nadrzędną — *suwerenności* mowy poetyckiej. Ta zaś zakłada zawsze otwartą możliwość wyboru między członami owej opozycji, nie zaś bezwarunkowe związanie się z jednym tylko członem. Zakłada także szansę nieograniczonego wyboru między różnymi odmianami nieśluźności i służebności, jako że i jedna, i druga nie mają charakteru uniwersalnego, lecz nieodmiennie sytuacyjny. Mowa suwerenna przyznaje sobie prawo — i z niego korzysta — nieskrępowanego przemieszczania się w przestrzeni dyskursów; zbliżania się do jednych, oddalania od innych, chwilowych identyfikacji, upodobnień lub odpodobnień. Zamykając się w koncepcji uniwersalnej nieśluźności — w sposób oczywisty ogranicza własną suwerenność. Fakt tego ograniczenia może być długo nie uświadamiany. Do czasu wszakże, gdy nieśluźność okaże się stanem wymaganym od poezji nie przez nią samą. Masz być taka właśnie — powiada się jej — i nie próbuj odmieniać swojej autodefinicji, gdyż utracisz to, co na jej podstawie udało ci się dotąd uzyskać. „Sezame otwórz się — ja chcę wyjść”, mogą wtedy za jedną z *Mysli nieuczestnych* wołać bardziej świadomi sytuacji poeci. Większość jednak wcale nie będzie chciała opuszczać Sezamu.

Tak więc status rezerwatu, który przyznano poezji bynajmniej nie klócił się z jej własnymi aspiracjami. Nie stanowił tworu w pełni sztucznego — jakiejś wsi patiomkinowskiej, lecz osobliwie kojarzył sztuczność z normalnością. Był uszuczniowaną normalnością poezji. Uszuczniowaną dwojako. Po pierwsze, przez wyobcowanie z kontekstu innych rodzajów mowy publicznej nie cieszących się podobnymi przywilejami i bezwzględnie kontrolowanych przez aparat władzy. Po wtóre, uszuczniowanie polegało na tym, że była to normalność warunkowa. Mogła zatem zostać cofnięta, gdyby uznano, że warunki, na jakich ją poetom ofiarowano nie są przez nich dotrzymywane. Ciesząc się przywilejami, musieli oni zarazem przysięgać się w tym, co robią — do ewentualnej utraty przyzwoleń. To, oczywiście, wprowadzało do ich poczynań element udawanej naturalności. Wiemy wszak, jak wygląda naturalność zachowań kogoś, kto konwojowany przez strażników skrywających broń za pazuchą, usiłuje imitować ruchy zwykłego spacerowicza...

A postawione warunki były aż nadto zrozumiałe: mowa poetów miała pozostawać w zadowalającym oddaleniu od istotnych spraw świata społecznego, w którego obrębie przydzielono jej miejsce specjalne — spraw znajdujących się w wyłącznym władaniu języka oficjalnego, porządkującego dyskursu władzy. Nie powinna w żadnym wypadku wchodzić samodzielnie na terytoria dla niego zarezerwowane, stawać się więc

ciąg dalszy na s. 7

Nasza ojczyzna, niosąca braterską pomoc wielu narodom, udziela także gościny pewnej liczbie ciemnoskórych afrykańskich studentów. Niektórzy z nich przechodzą w naszym mieście kurs języka czeskiego. Później po całym świecie roznoszą dobre imię naszego socjalistycznego społeczeństwa, jednakże mój starszy brat Adolf ich zbyt przyjazny stosunek do naszej społeczności przypłacił osobistym życiowym szczęściem.

A było tak. Adolf przez dwa lata kochał się potajemnie w Janie Brejchowej i w czasie tym napisał do niej ponad 200 listów. Ale filmowa diwa nie wykazała zainteresowania jego osobą, choćby w części proporcjonalnym do poczynionych zabiegów. Na wszystkie listy odpowiedziała jedną jedyną fotografią z autografem, do tego ze śladami kleksa i plamą, przypuszczalnie po lodach, a więc Adolf zaczął się umizgiwać do Freddie Mourkowej, która szczupłą sylwetką i powabnymi rysami twarzy nieco przypominała wzmiankowaną aktorkę.

Rodzice pochwalili jego decyzję, ponieważ urodziwa Freddie, będąc nieślubną córką aktywistki zakładowej organizacji partyjnej w PP „Lentex” w K., miała też bardzo dobre pochodzenie społeczne. Jedno tylko psuło korzystne wrażenie, jakie na naszej rodzinie wywarła dziewczyna Adolfa, a mianowicie jej imię, z braku bardziej postępowego nazewnictwa określane jako imię chrzestne. Pewnego dnia, kiedy Freddie składała u nas wizytę i przy akompaniamencie basowej gitary Adolfa odśpiewała jakąś gromką pieśń w obcym języku, zaniepokojony ojciec zapytał ją o rodowód tejże pieśni. Freddie odparła, że jest to pieśń amerykańskich Murzynów, wyrażająca protest przeciwko dyskryminacji. Ojciec zakłaskał, przez chwilę wystawiał walkę Murzynów o równouprawnienie, po czym nagle wpadł w wielki gniew, poczerwieniał i zaczął przeklinać imperialistów. Mamę również ogarnęła złość i w tak oto zrodzonej przyjaznej atmosferze ojciec spytał Freddie, dlaczego ona, dziewczyna na wskroś postępowa, działaczka Związku Młodzieży, przyjęła imię najwyraźniej angielskiego pochodzenia.

Wówczas Freddie spłoszyła i powiedziała, że teraz już może wyjawić tajemnicę swego imienia, albowiem umówiła się właśnie z Adolfem, że wezmą ślub cywilny jeszcze przed maturalnym egzaminem dojrzałości. Ta wieść niezwykle uradowała mego ojca, jest on bowiem zwolennikiem wczesnych ślubów młodzieży w wieku reprodukcyjnym, do czego także agituja odpowiednie organy chcące zapobiec spadkowi przyrostu naturalnego.

Zachęcił więc Freddie, aby niezwłocznie wyznała tę tajemnicę.

— Swoje imię — rzekła — odziedziczyłam po ojcu, którym jest niejaki Frederick Positive Wasserman Brown, robotnik rolny z South Caroline, który jako żołnierz trzeciej armii amerykańskiej generała George'a Pattona uwiódł był moją mamusię w Pilźnie, a potem został odkomenderowany na Daleki Wschód.

— Amerykanin? — zląkł się ojciec i sopośniał, ale po chwili nieco poweselał: — Robotnik rolny?

A Freddie, pragnąc zupełnie rozweselić ojca, uprzednio tak sławiącego bohaterką walkę kolorowych ludów, dodała prędko:

Nierozwiązalny

— Tak. A poza tym mój ojciec jest Murzynem.

Jednak wbrew jej oczekiwaniom ojciec zasępił się na dobre.

Przez następne dni z miejskiej biblioteki publicznej znosił do domu książki niejakiemu Łysenki, jednakże nie znalazłszy w nich zadowalającej odpowiedzi na dręczące go pytania, wypożyczył dzieło mnicha Mendla z rysunkami różnych grochów, białych, szarych i czarnych. Przestudiował je niezwykle pilnie i później, gdy Freddie znowu śpiewała u nas murzyńskie pieśni w obcym języku, zapytał:

— Moje dziewczę, ten twój ojciec jest Murzynem bardzo czarnym czy raczej jaśniejszym?

— Bardzo czarnym — odparła Freddie, która sama jest bardzo biała i tylko oczy ma niesamowicie czarne, ogromne i przepiękne. — Tak czarnym, że podczas wojny pod osłoną czarnej nocy, zupełnie nagi przedostawał się na pozycje nazistów jako zwiadowca, sam pozostając niewidzialnym.

Ojciec zasępił się znowu i więcej się już nie odezwał. Jednak jeszcze tego samego dnia poradził Adolfowi, aby nie zwlekając zerwał znajomość z murzyńską córką.

— Nie jestem rasistą! — bronił się Adolf.

— Ja też nie — powiedział ojciec — i gdyby Freddie była ciemnoskórą dziewczyną, ucieszyłbym się z takiej synowej, ponieważ ślub z przedstawicielką innej rasy, gdzie indziej uciskanej, jeszcze bardziej polepszyłby pozycję społeczną naszej rodziny. Tylko że ona jest biała. Istnieje niebezpieczeństwo, że zgodnie z reakcyjnymi prawami mnicha Mendla urodzi ci czarne dziecko i będzie wstyd!

— Dlaczego wstyd? Czarne czy białe, czy to nie wszystko jedno? — zdziwił się Adolf, ojciec zaś wyjaśnił:

Kohn reakcjonista

Do sąsiedniego domu wprowadził się niejaki Isidor Kohn. Niebawem stał się on przedmiotem obrad komitetu dzielnicowego, którego sekretarzem ma zaszczyt być mój ojciec, towarzysz Josef Krátky, kierownik sklepu PP „Textilia” w K. Albowiem ów Kohn posiadał dużego, czarnego kocura i co niedziela kupował mu bitą śmietaną w cenie 3 korony, po czym karmił go w oknie (mieszka na parterze), czym wywoływał publiczne zgorszenie wśród towarzyszek, wysiadujących każdego wieczora na przeciw pod lipą i rozprawiających przy papierosie o społecznych problemach.

W ich to właśnie imieniu ojciec złożył wizytę u rzeczono Kohna, wytykając mu takie nieładne postępowanie.

— Towarzyszu Kohn, wasze zachowanie nosi cechy zachodniego stylu bycia, jest więc reakcyjne. Na Zachodzie bogate damulki karmią kocury bitą śmietaną. Mają tam nawet kliniki dla zwierząt, a już szczytem wszystkiego są psie cementarze. I podczas gdy biedacy cierpią głód, kocury objadają się smakołykami.

— Przecież u nas nie ma głodujących biedaków — odparł towarzysz Kohn.

— Tym bardziej nie powinno być objadających się kocurów — rzekł ojciec — ponieważ między tym wszystkim istnieje ścisły związek. Towarzyski z komitetu dzielnicowego, siedzące pod lipą, zwróciły mi uwagę na wasze postępowanie, tak gorszące w czasach naszych przejściowych trudności ekonomicznych.

— Towarzyski każdego dnia wypalają po dwadzieścia papierosów, co tygodniowo daje sumę 30 koron — odciął się beczelnie Kohn. — Jak wiadomo, dwie z nich upijają się potajemnie, zaś córka jednej właśnie przebywa w zakładzie poprawczym dla dziewcząt. A ja jestem wdowcem, nie piję ani nie palę, i jedyną moją przyjemnością, jakiej sobie nie potrafię odmówić, jest obserwowanie kocura zjadającego raz w tygodniu bitą śmietaną w cenie 3 korony za porcję.

— I nie wstyd wam, towarzyszu — nie dawał za wygraną ojciec — że zamiast jak każdy pracujący spłodzić dzieci i je właśnie uraczyć bitą śmietaną z naszego bogatego stołu, sprawiliście sobie tylko zwykłego kocura?

Na co Kohn odpowiedział:

— Nikt ci nie uwierzy, że takie czarne dziecko jest naprawdę twoje. Każdy pomyśli, że zmagistrowali je nasi goście, afrykańscy studenci, i o twojej małżonce zaczną krążyć nieprzyjemne plotki. — Po czym dodał: — Dlatego więc zerwij tę znajomość, dopóki nie jest za późno.

Adolf poczerwieniał, zadumał się, a potem powiedział:

— Już jest za późno. Zerwanie znajomości nie wchodzi w rachubę.

Zapadła grobowa cisza, którą przerwało łkanie matki, ojciec zaś zaczął się niespokojnie wiercić. Od tego dnia również Adolf zagłębił się w książkach mnicha Mendla.

Było już jednak bez wątpienia za późno, jak sądzę,

problem genetyczny

zapewne dlatego, że Adolf kochał Freddie bardziej niż kiedykolwiek Janę Brejchową, aczkolwiek nie posyłał jej niemal żadnych listów.

Rodzice zaprosili do nas matkę Freddie, tkaczkę i jednocześnie aktywistkę partyjną, i ja, ukryty za wielkim portretem męża stanu, zasłaniającym otwór w ścianie po dawnej kasie pancernernej dziadka, słyszałem, jak mama podkreśla zbyt młodzieńczy wiek obojga dzieci i prosi towarzyszkę Mourkowską, by ta wyraziła zgodę stanąć przed jakąś komisją (której nazwy z powodu obcego brzmienia nie zapamiętałem) w sprawie jakiegoś biegu (czy tak jakoś podobnie). I zupełnie nie rozumiałem, dlaczego towarzyszkę matkę Mourkowską poniosło do tego stopnia, że odmówiwszy współpracy z komisją, wyszła trzaskając drzwiami. Przecież będąc uświadomioną kobietą pracującą okazywała do tej pory pełne zaufanie wszelkiego rodzaju komisjom, komitetom i organom.

Mało tego; towarzyszką z zakładowej organizacji partyjnej w PP „Lentex” w K. sprawiła nam jeszcze większą niespodziankę. A było tak.

Wkrótce po tamtej rozmowie ojciec, matka, moja starsza siostra Margaret, a także sam Adolf zaczęli rozgłaszać po całym mieście, że ojcem Freddie jest murzyński robotnik rolny Frederick Positive Wasserman Brown. Jednocześnie zaznajamiali społeczeństwo z prawami dziedziczości, według których osobie całkowicie białej może się urodzić czarne dziecko, a to za sprawą genów jej rodziciela. Zamierzali w ten sposób już wcześniej bronić dobrej reputacji Freddie, na wypadek gdyby dziecko miało inny kolor skóry aniżeli czeski.

— Nie było mi dane spłodzić dzieci z winy przedczesnej śmierci małżonki w obozie koncentracyjnym Birkenau.

Wówczas ojciec rzekł jakby łagodniej, ale nie mniej stanowczo:

— Powinniście zatem wziąć sobie inną żonę, a nie kocura, którego w dodatku kazaliście wykastrować, przez co także i on nie jest zdolny do płodzenia, czyli z perspektywy rozwoju jest istotą całkowicie bezużyteczną, a nasze społeczeństwo już dobrze wie, co z takimi należy zrobić. Weźcie przykład ze mnie. Spłodziłem trójkę dzieci i gdyby nie trudne warunki mieszkaniowe, płodziłbym je nadal.

Kohn znowu odparł bezczelnie, tym samym zdradzając się ze swymi antyhumanistycznymi poglądami:

— Milszy jest mi mój kocur aniżeli pańskie dziatki. Córka pana, Margaret, cieszy się złą sławą z powodu tatuowania się w miejscach dość intymnych, a syn Adolf, osławiony chuligan, skopał niedawno psa sąsiadów, aż ten zdechł.

— Mój syn — zapłonął sprawiedliwym gniewem ojciec — jest chłopcem udzielającym się społecznie, towarzyskim i utalentowanym muzycznie. Podczas gdy wy stronicie od ludzi i jesteście zdemoralizowanym indywidualistą!

— Im bardziej poznaję ludzi, tym bardziej kocham zwierzęta — rzekł wstecznik Kohn. A wtedy ojciec podniósł głos:

I wtedy znowu zjawiała się towarzyszką Mourkowską i z pokoju dobiegał jej wrzaskliwy głos, że niby ojciec, matka, Margaret i Adolf wystawiają dziewczynę (czyli Freddie) w mieście na wstyd, którego ona (tow. Mourkowska) najadła się w życiu do licha i trochę, a wszystko z powodu jakiegoś grzechu młodości. I mimo że ojciec natychmiast oświadczył, że jest wrogiem wszelkiego rasizmu, po czym zaczął jej wyjaśniać swoje dobre zamiary, to jednak nie wskórał niczego.

Jeśli chodzi o Adolfa, ten wiał w oczach, aż doszedł do takiego stanu, że nie mówił już o niczym innym, jak o mnichu Mendlu. Wzbudziło to podejrzenia u tow. dyrektora jedenastolatki im. Zdeňka Nejedlego, Pavla

Běhavki, który co niedziela z kawiarni „Pod Barankiem” bacznie obserwował wejście do kościoła katolickiego w rynku (później także kościoła czechosłowackiego i ewangelickiego),

czy przypadkiem Adolf, nawrócony na zabobonną wiarę mnichów, nie chodzi na nabożeństwa. Nie chodził, lecz kompletnie załamany na duchu zaznajamiał każdego napotkanego, nawet zupełnie obcych towarzyszy, z tajemnicą pochodzenia swej narzeczonej Freddie, jak również z prawami genetyki. A w końcu, po niezliczonych klótniach i awanturach, Freddie odeszła od niego. Gdy po raz ostatni przy akompaniamentcie jego basowej gitary odśpiewali wspólnie protest-song „Get Me A New Dolly, Molly!”, ona oświadczyła (co podsłuchałem ukryty za portretem męża stanu):

— Twoja niedyskrecja działa mi na nerwy a ja już nie mam zamiaru jej dłużej znosić. Poza tym nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego, a więc posłuchaj: matka mojego ojca, Fredericka Positive Wassermana Browna, była Japonką, jego dziadek afrykańskim Pigmejem, który do Ameryki przybył jako zakuty w kajdany niewolnik, co w połączeniu z faktem, że moja matka jest w jednej trzeciej Żydówką cygańskiego pochodzenia, pozwala mi mieć nadzieję, że urodzę ci zielonego krasnoludka, czego twój ojciec nie będzie mógł uzasadnić towarzyszom działaniem prawa Mendla. Zatem Good by forever, mój matolku!

Co powiedziawszy, odeszła na zawsze. I tak oto brat mój, za sprawą obecności afrykańskich studentów pozbawiony życiowego szczęścia, nie został ojcem.

Jakiś czas później Freddie urodziła dwojaczki, chłopca i dziewczynkę. Oboje są różowintcy. Jednak o takim przypadku Mendel nie wspomina ani słowem.

przełożył Jan Stachowski

— Teraz pokazaliście swoje prawdziwe antysocjalistyczne oblicze! Skoro kochacie zwierzęta kosztem ludzi, stajecie w tym samym szeregu co te damulki leczące w klinikach swoje pieski.

— To nie jest moje zdanie — skrzywił się w złośliwym uśmiechu Kohn. — Wypowiedział je Marks.

— Jeżeli nawet, to powiedział je młody Marks, który później zmądrzał — odparował ojciec i stwierdziwszy, że Kohn wciąż obstaje przy swoich reakcyjnych zapatrywaniach, będąc głuchym na słuszne treści, wyszedł. Tego samego wieczora westchnął w domu:

— Podejrzany człowiek z tego Kohna. Jak to w ogóle możliwe, że jako jedyny z siedemdziesięciu dwóch miejscowych Żydów przeżył protektorat? Czy to nie dziwne? Będę musiał polecić towarzyszkom z komitetu dzielnicowego, żeby miały na oku tego typu, który tak jakoś podejrzanie przeżył wojnę, a teraz bitą śmietaną karmi wykastrowanego kocura.

Wkrótce jednak sprawa Kohna doczekała się rozwiązania. Gdy wracaliśmy z niedzielnej zbiórki pionierskiej, podczas której ojciec wygłosił odczyt na temat „Pionier — obrońca lasu”, przebiegł nam drogę czarny kocur Kohna. Ojciec wymierzył w brzuch celnego kopniaka butem modnego fasonu i o postępowej linii. Kocur miauknął szkaradnie i rozciągnął się na środku drogi. Później prawdopodobnie zdechł.

przełożył Jan Stachowski

Rzut oka...

ciąg dalszy ze s. 6

w sytuacji możliwego z nim współzawodniczenia: ani jako diagnoza, ani jako krytyka, ani jako pouczenie. Nikt nie żądał od niej, by dawała świadectwo ideologicznej prawowierności — to w ogóle nie wchodziło w rachubę; nikt jej nie zlecał, co i jak ma mówić; wymagano wszakże, by sama wiedziała, o czym ma milczeć, i jak milczeć. Wykluczone było milczenie celowo uteatralizowane, dające ostentacyjnie wyraz burkliwemu rozgoryczeniu czy bezsilnej rezygnacji. Szło o takie milczenie, które nie byłoby zauważalnym zaniechaniem możliwego (czy oczekiwanego) w danej sytuacji mówienia, lecz po prostu niezauważalnym nie-mówieniem. Wiadomo jednak, że — w okolicznościach, które mamy na uwadze — autorytatywny dyskurs władzy ogarnia swym monopolistycznym panowaniem bardzo rozległe połacie życia zbiorowego; ponadto zaś jego ekspansywność nie podlega zewnętrznym ograniczeniom: sam bowiem określa w każdym wypadku granice swojej wyłączności. Toteż poezja akceptując warunek niewchodzenia samodzielnego na pola dla niego zastrzeżone, podejmowała obowiązki nadzwyczaj poważne: zmuszona była bardzo dużo wymilczeć, jeśli chciała zachować swoją rezerwatową pomyślność.

Cień milczenia, padający na rezerwat, nie przeszkadzał przecież temu, że toczyło się tam życie bujne i rozmaite. Poezja rodziła się z poezji i zapładniała poezję. Pojawiały się coraz to nowe programy, poetyki, kierunki i środowiska; kreowano i obalano autorytety; spierano się o granice wyobraźni, o semantykę poetycką, o klasycyzm i romantyzm, o to, czy twórczości służy bardziej wampiryzm czy onanizm, o kryzys awangardy, o poezję konkretną — i o wiele innych nie mniej ciekawych rzeczy. Jak w każdym rezerwacie, tak i tu współżyli przedstawiciele rozmaitych gatunków: starzy olimpijczycy, zatroskani moralisci, wyrafinowani esteci, brutalisci, poeci metafizyczni, chłopscy nadrealisci, koncepcyści, retorzy, prostaczkowie, lirycy czystej krwi, poeci przekleci, poeci uniwersyteccy, poeci alkoholicy, poeci moralnego niepokoju, i przede wszystkim: młodzi poeci — jako gatunek osobny i swoiście rezerwatowy. Stworzono im warunki przyjazne profesjonalnemu doskonaleniu się i komunikacji: niezliczone wiosny i jesienie poetyckie, turnieje, konkursy, nagrody (peleryny, pióra, szpady, sierpy), seminaria, sympozja, specjalne czasopisma i biuletyny — wszystko to dostarczało częstych okazji do środowiskowych spotkań i wymiany opinii, sprzyjając kształtowaniu się bardzo fachowego sposobu rozprawiania o sprawach poezji. Ten proces rodzenia się i rozrostu całej instytucjonalnej infrastruktury mowy marginesowej, cieszącej się względami i poparciem państwowego mecenasu, był doprawdy jednym z bardziej dziwnych zjawisk w życiu kulturalnym końcowych lat sześćdziesiątych i następnego dziesięciolecia.

Najważniejsze jednak: w czasie, o którym mowa, powstała nieprzeliczona ilość utworów prawdziwie pięknych, odkrywczych, wzruszających, mądrych, a wiele z nich wejście z pewnością do kanonu polskiej liryki. Dla szeregu wybitnych poetów były to lata szczytowe ich twórczości. Na czas ten przypadła niemała liczba pomyślnych debiutów, które miały potem zasługujące na uwagę kontynuacje. Można by też wskazać poetów, których cały dorobek zamknął się w ramach tego okresu.

Jak z owym bogactwem zjawisk ma sobie poradzić historyk literatury, gdy owaładnęła nim myśl zaprowadzenia wśród nich sensownego ładu? Nie sądzę, by czynił właściwie, próbując powtórzyć metodę porządkowania, która okazała się użyteczna w charakterystyce poprzedniego periodu. Zgodziliśmy się już, że tamten stanowi nadzwyczaj wdzięczny obiekt dla systematyzacji — jako zbiór poetyk. Czy nie można by tak samo potraktować drugiego? Naturalnie nikt nie zabrania, jednakże byłoby to przedsięwzięcie poznawczo mało opłacalne, ponieważ niczego w taki sposób nie udałoby się nam dowiedzieć o tym, co najbardziej swoiste dla owego okresu: ani o tym, co czyniło z niego całość, ani o czynnikach, które tę całość wprowadzały w ruch. Bowiem nie w takim czy innym zestawie poetyk (który oczywiście powinien być w opisie uwzględniany) tkwi sekret historycznoliteracki tego okresu, lecz w fakcie, że wszystkie dające się wyróżnić poetyki były pospołu rozmieszczone w rezerwacie mowy i że konieczność wpasowania się w ramy rezerwatu stanowiła ich prymarne uzależnienie. To uzależnienie zaś upodabniało je funkcjonalnie: jakkol-

ciąg dalszy na s. 9

Próba wizji

Czas, który za sobą zostawia tylko wspomnienia zbrodni, krajobraz zaplutej ziemi i życzeniowych snów tak intensywnych, że tuż za bramą obozu koncentracyjnego ustawiona jest wiejska zagroda dzieciństwa, zagroda z przypowieści o synu marnotrawnym, o całej straconej ludzkości. Wielki eschatologiczny wiersz, wydrukowany w majowym „Tygodniku Powszechnym” „Apokryf” Janosa Pilinszky'ego w tłumaczeniu Jerzego Snopka, od wielu lat pierwsze w poetyckiej polszczyźnie spełnienie tęsknoty za wizją, ale wizją nieczystą, zmąconą doświadczeniem. Wiersz wydaje się — nie znającemu węgierskiego — osiągnięciem porównywalnym z przekładem Mieczysława Jastruna, zamieszczonym w *Antologii poezji węgierskiej*, lecz odmiennym w znaczeniach równie zasadniczych filozoficznie dla obu wersji.

Najpierw jednak o unikalności tego spolszczenia, o jego wyjątkowości w poezji dziś u nas uprawianej. Dwa można tu przywołać zarzucone szlaki: Mickiewiczowską tradycję snu dreźnieńskiego, tak wielką, że paraliżuje chęć kontynuacji i, jakże szybko zapomnianą, tradycję późnych liryków Stanisława Piętaka. Inne rodzaje wizji nie dają tego połączenia ciężaru i płynności, który powinien tu być ewokowany. Wizje Ważyka, którego kult obrazu znajdował otrzeźwienie w konkretności tego, co obraz zawiera, rzadko tylko nakładały się swoją bystrą przejrzystością na nieruchomą czern podświadomego. Wizje Miłosza tak gęstnieją od słownego wyrazu, że częściej stają się domeną słuchu i rozumu, niż spojrzenia i zachwytu — choć bywa i odwrotnie, a w najlepszych



JAN LEBENSTEIN *Apokalipsa* (fragment)

dokonańach bywa równoważnie. Wizje licznych dziś epigonów Miłosza nazbyt są, jak na mój gust, prze-czyste i alegoryzujące.

Cóż więc tak cennego i zapoznanego — na różną miarę możliwości autorów — znajdujemy w śnie dreźnieńskim, w „Zaklinaniach” Piętaka, w „Apokryfie” Pilinszky'ego — Jastruna — Snopka? Przede wszystkim nieskazitelność intencji poetyckiej, którą tak by można wypowiedzieć: tego, co z wnętrza, co z psychicznego „znikąd” pochodzi, nie wolno przeformować „warsztatem” umiejętności słownych, wolno co najwyżej dotknąć współczuciem zmysłów. Trzeba więc w poemacie pozostawić ślad zetknięcia się duszy i ciała, ślad ich wzajemnego osamotnienia. Mickiewicz po prostu zapisał sen — siła tego zapisu jest w słowach, jakby wypychanych przez spoiwość wizji na powierzchnię obrazów, w słowach zewnętrznych ale dokładnych w opisie wnętrza. Piętak usiłował znaleźć obiektywizm w medium fabuły — spisywał mit z wizji.

Jastrun w przekładzie „Apokryfu”, wydobywa pęknięcia, dramat oderwanych maszywów psychicznych, samobójczo zdeintegrowanych, zderzających się i rozstępujących, żeby przyjąć pustkę — Boga albo Nicość. Te ruchome masywy podświadomego zesnurowuje ledwo zrozumiałymi, zagmatwanymi inwersjami składni, samymi w sobie wirtuozerskimi, jakby chciał pokazać żalną beznadność poetyckiego kunsztu. Snopek daje przekład spoiwo, co nie znaczy, że „ułożony” — rytmiczna sugestywna machinalność chce zakląć w dobro całe zło jałowej ziemi Pilinszky'ego; nieskuteczność zaklęcia równie ostro zgrzyta jak rozsypana składnia Jastruna.

Próba jasności tego, co ciemne — ale nie prostąckie wyjaśnianie, ani uleganie pokusie ciemności pozostawionej bez próby. Tego mi brak w polskiej poezji dzisiaj.

Jest jeszcze trzeci przekład „Apokryfu”, w wydanej przez WL antologii *Przepowiednia czasu twego* (WL 1985). Jego autor, Tadeusz Śliwiak, do tego stopnia dał się na początku przekładu ponieść nadętej stylizacji, że wiersz w dalszych partiach skromniejszy, aż do końca brzmi i znaczy tak ogłuszająco, jakby chciał zmusić wizję do pierzchnięcia. Co się też i stało. (Zastrzegam się, że mówię tylko o poetyckim efekcie w polszczyźnie). Ten przeszarżowany „Apokryf” dobrze symbolizuje stan polskiej poezji: przy swoich ambicjach sięgania głębi nazbyt bywa głośna i wystylizowana.

dokończenie ze s. 1

Kryzys ten nie oznacza jednak bezrobocia dla zaradnych. Młody człowiek władający maszyną do pisania (komputerem) ma szansę zarobić na cztery pokoje z kuchnią i Toyotę, tyle że nie opowiadaniem bajek wylętych w jego pogmatwanej psychice. Musi natomiast fabrykować to, co się sprzedaje. A więc historie o supermenie dla nastolatków, scenariusze do filmów reklamowych, dialogi do owych cine-romans czy komiksów. Popyt na fachowców zapewniony. Zamiast rozpaczć, trzeba się przekwalifikować, jak hutnik, który przestał zatrzuwać środowisko i zakłada kiosk z gumą do żucia i balonikami. Czyż więc ci, co wierzą w szlachetną misję twórcy wiodącego ludzkość ku przyszłej szczęśliwości, winni wyjechać co prędzej do Albanii, Korei Północnej, na Kubę, a więc do krain, gdzie minister kultury wciąż gotów jest przycisnąć do piersi głodującego geniusza? Proponując mu w zamian opiewanie wylaniających się

Upadłe Miasto

spoza niewidocznego drutu kolczastego poranków przyszłości?

Cechą wolnego rynku jest pluralizm wartości. Każdy chwali swoje, podejrzliwie spogląda na nie swoje, wiarygodność bywa zaletą niesłychanie rzadką, nieufność i rezerwa zasadą elementarną. W tej dżungli relatywizmu dobra konsumpcyjne najłatwiej zachowują obiektywny status. Oto bowiem stają naprzeciw siebie budzące odruchową nieufność pomysły debiutanta-kontestatora i sprawdzony model „walkmana” albo butelka szlachetnego Bordeaux. Któż mogąc nabyć niewątpliwie dobre wino, wybierze nieznanne arcydzieło wątpliwego geniusza? Esej łatwiej się potrafi wybronić, ponieważ autora usprawiedliwi sam atrakcyjny temat (pałaca kwestia dnia, jak to się mówiło w czasach Brzozowskiego). Wydajemy więc pieniądze, by poznać prawdę lub przynajmniej jeden z jej aspektów: dowiedzieć się czegoś o kryzysie komunizmu, wzroście znaczenia islamu w krajach Czarnej Afryki, o nowej psychiatrii, czy roli intelektualistów w powstawaniu totalitarnych utopii. A literatura „bezinteresowna”, sama dla siebie, słowo nakierowane na własną „materię” nie na komunikat, wyrafinowana gra dla samej gry? Któż w społeczeństwie pragmatycznym znajdzie na to pieniądze? Jak powiedziałem, potrzebę transcendowania codzienności, którą ongiś zaspokajała lektura literacka, dziś zaspokaja oglądanie telewizji albo video. Dokonuje się to zarówno na poziomie dość prymitywnym jak i bardziej wyrafinowanym: oglądane dzieło służy nie tylko zapełnieniu pustki naszego mózgu serią postaci i wydarzeń, ale i pewnemu uporządkowaniu osobistych doświadczeń. Jest więc propozycją rozumienia „życia”, także naszego własnego, ustanowienia w nim pewnych hierarchii wartości i sensów. Niestety na te „naiwne pytania” nieczęsto chce i potrafi odpowiedzieć tak zwane „ambitne piarstwo” złapane jak Narcyz w potrzask autematyczności, czyli mówienia o mówieniu... Trudno dojrzeć w tych „postawangardowych” wytworach przeblask problematyki żywej dla nie-hobbystów, którym książki te wypadają z ręki po kilkuminutowej lekturze. Czy można więc dziwić się, że na publikację takich podpisanych przez głośne nazwiska snobistycznych cegieł, manifestujących jak paw swoją „ostentacyjną nieużyteczność”, mogą sobie pozwolić jedynie potężne firmy dysponujące funduszami na ekstrawagancję?

A więc jednak umarła, naprawdę umarła nasza wspólna, umiłowana sztuka literacka? Jeszcze o tym nie wiemy, my tutaj, na kresach cywilizowanego świata, w postkomunistycznej barbarii, my, żywiący się na dzień książkami Konwickiego, Herberta, Filipowicza, Szczepańskiego — autorów szarpających narodowe i ludzkie trzewia, moralistów broniących wartości w obliczu totalitarnego zagrożenia.

Nie tak dawno przecież powstawały dość liczne dzieła odróżniające się od beztroskiej produkcji rozrywkowej profetyczną wizją zbawiania uciskanej przez przebrzydły kapitalizm ludzkości. Dało się je wywieść pośrednio lub bezpośrednio z romantycznego ethosu lewicy — od Schillerowskich *Zbójców* przez Victora Hugo — do zaangażowanego piarstwa Malraux i Sartre'a. Dzisiaj jednak rozpada się na naszych oczach ethos lewicy, ethos rewolucji, którym od dwóch wieków karmiły się serca poetów i powieściopisarzy. U jego podstaw legł projekt radykalnej przebudowy, dość przez Pana Boga niefachowo, jak uznano, stworzonego świata. Popychano więc glob ziemski na nowe tory i wołano, aby „wykłęty powstał”. Burzenie tego co jest, przekraczanie norm ustanowionych przez „skazany na zagładę stary świat” stanowiło ulubioną igraszkę i naturalny sposób bycia nie tylko groźnych terrorystów „Narodnej Woli”, ale i całego mrowia ciskających papierowe bomby w establishment literatów. (Gwoli prawdy warto przypomnieć, iż w działaniach artystów, burzycieli sytego świata, od

dawna już przejawiała się zła wiara. Twórca-buntownik, duch niepokorny mrukał jednym okiem w stronę „wykłętych”, kolejno ekscytując się Wietnamem, maocizmem, Fidelem, Palestyńczykami, wreszcie Nikaraguą, zarazem jednak drugim okiem sygnalizował swoją przynależność do „Zweidrittelgesellschaft”, czyli do tych, którym się powiodło i którzy z tej przyczyną czasem doznają wyrzutów sumienia, przeto on, twórca całkowicie niezawisły, oferuje im firmowe różgi do higienicznego biczowania...) Lucyferycznymi czy prometejskimi burzycielami starego porządku bywali zarówno Robespierre, Lenin, jak i Rimbaud czy Genet. A Jean Paul Sartre w paryskim Odeonie wyrastał na duchowego wodza pokolenia '68.

Sprawy bowiem mają się tak oto: ethos rewolucji zwymyka, by mieczem ognistym — niby Michał Archanioł — wytępić zło świata. Piękny to pomysł i wabiący dusze młodzieży; o ileż piękniejszy niż żmudna praca w pocie czoła, aby na końcu drogi miał Szczęśliwego Raju

Zbawionej Ludzkości osiągnąć jednorodzinny domek z ogródkiem i samochód marki „Mercedes”. Idealizm i materializm praktyczny. Szlachetny Rycerz i Pachołek na osle. Dziś to wszystko nieco zetlało niby fotografia babuni. Rzecz jednak w tym, iż w miejsce eschatologicznego mitu — Destrukcji i Konstrukcji, Apokalipsy i Utopii — rozpalającego wyobraźnię niedowartościowanych przez tłustych mieszczan poetów i malarzy, nielatwo cokolwiek dziś postawić. Zwątpiwszy w Che Guevarę trudno zaraz wielbić panią Thatcher, Regana, kanclerza Kohla, obrońców sprawzonego, zadowolonego z siebie jak syte prosię Wolnego Świata, a więc Rynku, Konkurencji, Konsumpcji, Produkcji, Wzrostu, Rozwoju, etc. Robią to yuppies, ale czy stworzą arcydzieła inne, niż kulinarne i fryzjerskie? Cóż więc dalej? Jeśli w proch rozpadł się Szlachetny Rycerz, czy zdołamy zbudować pomnik z białego marmuru Pachołkowi na osle?

A co u nas — w Polsce i w Obozie? Figurą-emblemem niech tu będzie choćby autor *Archipelagu Gulag*. Totalitarny ucisk karcił serca autentyczną niezgodą na zbrodnię władzy. Pisarz niósł na barkach „wartości” w niezłomnym sprzeciwie, nawet wtedy, gdy upadało „Miasto”. Taki to był komfort, który oto, wraz z agonią komunizmu, tracimy. A racje bytu piarstwa? Dobro i Zło, jasność Dnia i ciemność Nocy z powrotem ulegną przemieszaniu. Jaruzelski i Wałęsa, Kiszczak i Mazowiecki, Urban i Niezabitowska, któż się wyzna w tym „wesółym oberku”. Prorok światłości zapyta, co jest Prawdą i nie usłyszy jednoznacznej odpowiedzi. Pozostanie mu więc zmienić zawód. Znana alternatywa to grymas blazna albo zacieklność kontestatora. A zatem powtórzmy wzory zachodnie: nihilizmu, jałowej ludyczności, rewolty, tyle że już bez złudzeń? A może ten czy ów podejmie się trudniejszej roli nieprzekupnego świadka upadków i wzlotów rodziny ludzkiej, tak samo dziś, jak wczoraj kuszonej przez fałszywych proroków zarówno na pustyni głodu, jak na pustyni obfitości?... Czy jednak świadek ten znajdzie czytelników gotowych wydać na książkę równowartość kilku dni pracy — nawet jeśli przesłanie będzie rzeczywiście warte uwagi, a odbiorcy rzeczywście zlaknieni przesłania? Czy pojawią się dojrzałe dzieła i wrażliwi na ich słowo czytelnicy? Zapewne i jedni i drudzy przejść muszą przez ogień oczyszczenia, zmęźnić i dorosnąć do odpowiedzialności. Tak oto „krwiozerczy” wolny rynek i jego wilcze prawa mogłyby okazać się niezbędnym warunkiem powstania i umocnienia kultury prawdziwie niezależnej. Wątpić jednak należy, by upadek „ethosu lewicy” powołał do istnienia swoją prostą odwrotność — literaturę opiewającą świat zachłannej konsumpcji i nieokielznanej produkcji (Pachołka na osle?). Nie wiem także, czy pojawią się dzieła literackie „prawicy”, sławiące niewzruszone — wieczne — fundamenty ludzkiej cywilizacji: Prawo, Normę i Obowiązek? Wątpliwe jest bowiem, czy literatura powołana została do obrony pojęć abstrakcyjnych. Jej naturalnym sposobem bycia wydaje się raczej towarzyszenie naszym nadziejom a zwłaszcza klęskom, współczująca *Każdemu* obecność wszędzie tam, gdzie pojawia się przemoc i padną ofiary. Ta współczująca obecność nie zawsze musi patetycznie szlochać. Wystarczy kiedy wypowiedzi się całą skalą artystycznych możliwości; także ironią i dystansem, jest bowiem szczególną formą świadectwa, które zachowuje jednorazowe doświadczenie w pamięci dziejów. „Poeta pamięta” — nie bez racji wyryto na pomniku... Ale owa pamięć bywa po części konfrontacją zasad i doświadczenia. „Życie” rozumiane jest w świetle zasad, a zasady interpretowane w świetle jednorazowego tu i teraz. PRAWO zderza się więc z OSOBA, jak Kreon z Antygoną. Miejsce tego zderzenia to chyba miejsce sztuki? Pięknej sztuki pisania?

Jan Prokop

Ankieta: Co się stało w sztuce lat osiemdziesiątych?

sztuka

W latach osiemdziesiątych zdarzyło się — rozpoczęło, trwało i chyba zakończyło — coś, co sztuce polskiej mogło nadać rzeczywiście jakiś sens.

Ujawnił się w pełni konflikt między komunistyczną władzą (dotychczasowym mecenasem sztuki) a społeczeństwem, przy czym władza stworzyła sytuację jaskrawej niesprawiedliwości — stan wojenny. Artyści opowiedzieli się wtedy (w przytłaczającej większości) po stronie społeczeństwa, zrywając ze statusem „artysty państwowego”.

W ten sposób zbliżyli się siła rzeczy do grup społecznych, od których tradycja ostatnich stu kiludziesięciu lat ich oddalała.

Zdarzenie

Znaleźli się we wspólnocie, związanej poczuciem zagrożenia oraz czymś znacznie jeszcze istotniejszym: światem wartości, który nagle stał się bliski, oczywisty, zobowiązujący do takich, a nie innych działań. Był to — przeciwstawiony komunistycznemu relatywizmowi moralnemu — świat wartości chrześcijańskich, skodyfikowanych w Dekalogu i Ewangelii.

Wówczas dla wielu polskich artystów eksperyment, podjęty w dwudziestym stuleciu przez awangardę, ujawnił to, co było w nim nihilistyczne i jałowe. Musieli podjąć próbę znalezienia

nowego języka, którym mogliby się porozumiewać ze wspólnotą, wyrażać prawdy w świadomości społecznej postrzegane jako prawdy ostateczne.

Pojawiła się niebawem szansa, tylko w części wykorzystana. Ta część — to wystawy takie jak „Znak krzyża” i „Labirynt” Janusza Boguckiego, „Niebo nowe i ziemia nowa?” Marka Rostworowskiego, „Wszystkie nasze codzienne sprawy” Tadeusza Boruty. Artyści polscy stanęli wobec olśniewającej perspektywy mówienia rzeczy ważnych — najważniejszych, najistotniejszych — ludziom, którzy chcą tego słuchać, którzy wiedzą, że to naprawdę dotyczy sensu ich życia, a nie stanowi tylko rutynowej czynności uczestników „życia artystycznego”.

Przeszkód powstało wiele: narzucająca się prosta symbolika krat i sztandarów; nieufność hierarchii kościelnej wobec niezdyscyplinowanego sojusznika w chrześcijaństwie, jakim był artysta; mała wiara estety, którym tak łatwo było wyśmiać naiwność pierwszych prób, a tak trudno zrozumieć niezwykłość tego, co się dzieje. O przerwaniu eksperymentu zdecydował wreszcie niespodziewany koniec komunizmu i zarysowanie się nowej konstelacji idealów: wolny rynek, Europa etc.

Wbrew temu, co widzimy wokół, uważam, że tamto szczególne doświadczenie nie może się rozpruć bez śladu. Oczywiście, będzie się mnożył idiotyzm przedmiotów estetycznych dla przyjemności tych, co śpiewają: „bo to co nas podnieca to się nazywa kasa” — ale tak zmierzająca do WYŻSZEJ POTRZEBY powinna przynieść — choćby i nieliczne — owoce.

Andrzej Osęka



RYSZARD GRZYB

Kończące się lata osiemdziesiąte zamykają cykl historycznych wydarzeń, o których doniosłości nie trzeba nikogo przekonywać. Dla twórczości artystycznej te czasy są całkiem przypadkowe. Gdyby nie uwikłanie polskiej sztuki i jej dzieł w Historię. Niestety straty ponosi Sztuka nie Historia. Pod tym względem mijająca dekada jest dekadą klęski. Twórczość artystyczna została zepchnięta na najdalszy margines zainteresowania nawet tak zwanej kulturalnej publiczności, a co poniektórzy krytycy i filozofowie ogłosili, ten zaiste ponury stan rzeczy, za wielkie osiągnięcie i poczęli

czali zgiełku doczesności do wnętrza swojej „niszy ekologicznej” w domu studenckim przy Podwalu.

Podobną rolę spełniały takie niewielkie przystanki sztuki jak galeria Krzysztofa w Krakowie i Foksal w Warszawie, chociaż ich artystyczna i cywilna odwaga należą raczej do przeszłości. Tych dwóch istotnych cech nie zabrakło jednak ani Jarosławowi Kozłowskiemu w Poznaniu (galeria Akumulatory 2), ani Fredowi Ojdzie w Warszawie (Galeria Działań), a także Marii Annie Potockiej w Krakowie działającej pod kuratelą P.P. DESA.

I co nam zostanie z tych lat?

zaganiać artystów do służby społecznej, do sacrum, niemal do zamiatania ulic.

Co więc zostanie? Stan wojenny spowodował powstanie całej sieci niezależnych inicjatyw, imprez i galerii. Była to przede wszystkim kontestacja polityczna.

Niewątpliwie ruch działań niezależnych pozostawi swoje piętno. To jednak, co było dla mnie ważnym znakiem nadziei, nie łączyło się wprost z tak pojętą kontestacją.

W króciutkiej notce polemizującej z wystawą „Galerie lat osiemdziesiątych” („Gazeta Wyborcza” nr 119) Jerzy Ryba upomniał się o wiele z tych galerii i inicjatyw, które wystawa w Zachęcie pominęła. Przez skromność nie wymienił galerii, którą sam kierował — Na Ostrowie w podziemiach kociola św. Marcina we Wrocławiu. Było to jedno z tych nielicznych miejsc, gdzie wyborem nie rządziła wola politycznej manifestacji, lecz atrakcyjność propozycji, klasa dzieła, a przynajmniej oryginalność zjawiska. Były jeszcze dwa takie osobliwe miejsca we Wrocławiu. Zakład nad Fosą i Ośrodek Działań Plastycznych przy Politechnice Wrocławskiej. Kierowane przez współdziałających ze sobą Michała Bieganowskiego (Zakład) i Wojciecha Stefanika (Ośrodek) nigdy i pod żadnym pozorem nie dopusz-

Kiedy po kilkunastu miesiącach krążenia między zupełnie nie artystycznymi ośrodkami, mogłem znowu jako tako dysponować swoją osobą, znakiem nadziei na pokonanie czerwonego smoka nie były dla mnie wielkie manifestacje, lecz zaproszenia do tych kontemplacyjnych zamkniętych, odizolowanych od wrogięgo świata miejsc. To trwanie sztuki dla niej samej, chociażby i z otoczką snobizmów i narowów, mówiło mi, że duch nie zginął w narodzie. Bo sztuka tkwi w czasie nieruchomo i dlatego wydaje się nam tak bardzo zmienna. Miną wojny i rewolucje. Zapomnimy nazwiska dzisiejszych przywódców, a sztuka pozostanie.

Przemina bez znaczenia Nowi Dzicy udatnie naśladowujący swych niemieckich nauczycieli, bez śladu zaginę w niepamięć poczciwe pacholeta podtykające swe rozmodlone obrazki jak świeże bułeczki, odejdą w siną dal coraz starsi panowie, powielający w nieskończoność swoje jedyne udane „dziełko” i bez żalu rozstaniemy się ze znawcami o profesorskich tytułach, od zawsze, z etapu na etap, wyznaczającymi miejsce dla sztuki i artysty — z tą samą swadą za Stalina, za Gomułki, za Gierka, za Mazowieckiego... Uwolnić się od ich słodkiej kurateli byłoby chyba największym osiągnięciem współczesnej polskiej twórczości artystycznej.

Zbigniew Makarewicz

Rzut oka...

ciąg dalszy ze s. 7

wiek pozostawały różnorodne, spotykały się we wspólnym obszarze tego, co dla nich niemożliwe do osiągnięcia, we wspólnym obszarze milczenia — i w milczącej znowie co do konieczności takiego milczenia.

Jeśli zaakceptujemy pogląd, że był to podstawowy czynnik integracji okresu, natychmiast stajemy wobec kwestii następnej: co wobec tego stanowiło o jego wewnętrznym dramatyzmie, o jego dynamice ewolucyjnej? Rzecz prosta nie sam przez się ruch wyłaniania się i kształtowania poetyk czy stylów, gdyż ten uporczywie odsyłał do owego prymarnego uzależnienia; był to wszak ruch sadowienia się poezji na przyznanym jej terenie — urzędowania i umacniania rezerwatu. To, co istotnie dramatyzowało ten okres (gdy patrzymy na jego pulsowanie z dzisiejszej perspektywy), to przedsiębrane w nim próby przekraczania rezerwatowych granic funkcjonalności mowy poetyckiej. Próby — mniej lub bardziej śmiałe i konsekwentne — wychodzenia ku doświadczeniom „piekielnego życia”, żeby raz jeszcze przywołać słowa Herberta. Próby znalezienia się poezji wobec rzeczywistości społecznej i duchowej rozciągającej się na zewnątrz azylu — wypowiedzenia o niej własnej oceny, dania niezależnego świadectwa, że jest taka a nie inna, przysłużenia się jej: jako przypomnienie czegoś, co zapoznane lub zagłuszone, jako przestroga czy nauka. Nie miały one charakteru otwartych rebelii, demonstracyjnych porzuceń wygodnego schronienia, jawnych aktów nierespektowania kontraktu (choć i takie dałoby się wskazać); w większości sprowadzały się do niewielkich wyłomów w ogrodzeniu rezerwatu i przebić do „świata nieprzedstawionego”, małych niesubordynacji i sekretnych porozumień z czytelnikami wrażliwymi na najwęższe nawet manifestacje niezawisłego słowa. Ta krecia robota rozwijała się właściwie przez cały okres. Była wszakże rozproszona, rozkładała się na wiele drobnych usiłowań — czytelnych raczej jako pojedyncze śmiałości, niż jako elementy jakiejś większej, zbiorowej, śmiałości. Niemniej z tła kreciej roboty, upartej choć umiarkowanej efektywnej, zdołały się przecieć wynurzyć dokonania, o których bez większych wahań można dziś orzec, że znalazły się poza granicami przydzielonego poezji terytorium. Coś jeszcze o nich powiem w końcowej części tego tekstu.

Gra zasadnicza — choć w większej części przysłonięta rozmaitymi kamuflażami — toczyła się więc o nierezerwatową funkcjonalność mowy poetyckiej. O jej zadania rozumiane całkiem prostodusznie, można rzec: przedawangardowo. O odzyskanie przez nią prawa do podejmowania, bez zezwoleń, zobowiązań zgola staroświeckich: głoszenia własnych prawd o życiu narodu, wyrażania zbiorowych emocji i przywiązań, krytyki urzędów społecznych, ganienia rządzących, opowiadania się po stronie skrzywdzonych i wyzyskiwanych, przywoływania wartości zaniedbanych lub zagubionych, moralnej oceny postaw i czynów ludzi współczesnych. Poezja, którą wszystko zdawało się pchać w strefę osobliwego *socparnasizmu* (nazwanie Michała Głowińskiego) śniła jakby sen o swojej utraconej poczciwości. Sen, w którym dochodziły do głosu jej głęboko stłumione tęsknoty i aspiracje. Chciałaby być wiarygodna poznawczo, szlachetnie zaangażowana, poważnie nauczająca, solidarna z upośledzonymi i zbuntowanymi... Czyżby zatem skrycie marzyła o byciu wierszowaną publicystką, socjologią czy pedagogiką? Rzecz jasna — nie. Usiłowała bowiem zachować przy tym wszystkie licencje i atrybuty nowoczesnej sztuki słowa, całe wypracowane dotąd instrumentarium „języka w języku”. Słowem: pragnęła być dzisiejsza w formie i przedwczorajsza w funkcjach. Tak miałyby się na powrót odnaleźć pośród procesów świata społecznego. Myślę, że ten sen o nowej — a w istocie archaicznym — funkcjonalności mowy poetyckiej, przebijający się co i raz do jawy życia literackiego, powinien być należycie uchwycony i opisany przez historyków poezji okresu o którym tu traktuję, rozciągającego się od schyłku lat sześćdziesiątych po Sierpień. Choć śniony w rezerwacie językowym, był przecie śniony przeciwko temu rezerwatowi; stanowił zapowiedź przyszłej reorientacji świadomości niemałej liczby poetów. Reorientacja ta zaś dała początek następnemu okresowi, w którym śniona przedtem poczciwość — wyśniła się i rozlała szeroko po polskiej krainie wierszotwórstwa.

Janusz Sławiński

dokończenie w następnym numerze

prezentacje

KOEHLER

Pierwsza rocznica

Nie budzi mnie już krzyk.
Rewers przestał dokuczać awersowi. Przede mną przestrzeń: pusta, jasna.

Stoję na równiku. Słońce dopala cień jak rekrut ogarek. W oślepiłym świetle zostaje zatrzymane całe niedopowiedziane, zamknięte, skończone, nieprawdopodobne życie.

Tylko tyle: skromna wieczność szmuglowana przez kruche granice spadających liści.

Promieniście od oczu rozchodzą się zmarszczki, jakby ogarnąć chciały całą przestrzeń, która pozostała jeszcze do spotkania.

Nie budzi mnie już krzyk, a sny układają się wzdłuż południków: w stronę, skąd wieje chłód.

Miało być tylko pożegnanie i pochwała czasu
a jest
niezamierzony skutek:
droga w kamienne serce blasku: wiersz.

Klasztor Cystersów. Mogila

Ciche modlitwy
Słone kwiaty ust
W stuletnich dębach
Pochylony Bóg

Nad rzeki brzegiem
Pośród wrzasku miast
Requiem pogodne
Nieustanne trwa

Pochwała scholastyki

Pomiędzy pierwszym i ostatnim wersem w drodze myśli od trawy do Króla Stworzenia

pomiędzy pręty przed - ustawnej klatki wbudować - radość trwogę moc istnienia

jak flet -
Boży ład
jest martwy
gdy grajek
przestaje go
grać

Jak zaskakujące nas trzęsienie ziemi jest tylko ostatecznym rezultatem długotrwałego i niewidocznego narastania tektonicznych napięć w skorupie ziemskiej — tak przemiany, jakim według wszelkiego prawdopodobieństwa zacznie wkrótce ulegać współczesna poezja polska, będą, jak sądzę, wynikiem swoistego „zmęczenia materiału”. Materiałem poezji jest słowo. Słowo w swoich dwóch wymiarach: znaczeniowym i brzmieniowym. W obu tych wymiarach materiał dzisiejszej poezji przypomina właśnie taką poddawaną wciąż tym naciskom platformę tektoniczną albo wyginany we wciąż ten sam sposób kawałek żelaza. I ów sejsmograf czy aparat do prześwietlania metalu, jakim jest ucho krytyka — każdego wrażliwszego czytelnika zresztą — sygnalizuje coraz wyraźniej, że ziemia w końcu drgnie a metal pęknie.

Mówiąc o „zmęczeniu materiału”, nie mam — rzecz jasna — na myśli wielkich indywidualności poezji współczesnej: chodzi mi o normę narzuconą poezji polskiej przez odkrycie, jakiego przed czterdziestu kilku laty dokonał Tadeusz Różewicz. „Poetyka ściśniętego gardła” była, w tamtym momencie ma się rozumieć, właśnie tym, czego poezja polska potrzebowała: artystycznie uczciwą (choć z pewnością nie jedyną uczciwą) reakcją na niedawno przeżyty horror czasów zagłady. Ale horror ustąpił miejsca innym horrorom — a także doświadczeniom odmiennego rodzaju: euforiom, rozczarowaniom, zadumom, nadziejom, zniechęceniom... a „gardło” jak było ściśnięte”, tak pozostało, i to zarówno gardło podmiotu wierszy samego Różewicza, jak niezliczone gardła, wydobywające z siebie z ostentacyjnym trudem dolorystyczne wyznania w wierszach setek jego naśladowców. Tak właśnie narzucona przez pioniera norma stała się konwencją. Co w wypadku Różewicza było, przynajmniej z początku, rzeczywistym trudem i odkryciem, w typowym wierszu „różewiczoidalnym” stało się łatwą i pustym znaczeniowo banałem. Wszyscy znamy ten typ wiersza, który w dalszym ciągu pozostaje opcją, wybieraną z charakterystycznym automatyzmem przez niemal każdego współczes-

nego debiutanta: ten wiersz minimalistyczny w swoich ambicjach, skandujący, jękający, czy wykrztuszający swoje mechanicznie dzielone, pokrywające się z frazami linijki, jak gdyby programowo ociosany z wszelkich możliwości, jakie otwiera przed poezją naturalna prozodia języka zderzona ze sztucznością wierszowej organizacji; z wszystkich bogactw, udostępnianych piszącemu przez ten niewyczerpany skarbiec poezji, jakim jest „nietożsamość zdania i wersu, napięcie pomiędzy składnią, a wersyfikacją”. Tak jak dla debiutanta okresu Młodej Polski pójściem po linii najmniejszego oporu było posługiwanie się sztancą regularnej strofy i rymowaniem „mgławicy” z „tęsknicą” — dla debiutanta ostatnich dekad takim najłatwiejszym, zwalniającym od samodzielności i twórczego wysiłku rozwiązaniem była konwencja mówienia przez różewiczowskie „ściśnięte gardło”.

Gdy się nad tym zastanowić, nie można w tym nie dostrzec czegoś znacznie groźniejszego niż tylko epigonizm, niż tylko jedna więcej pusta konwencja. Czyż definicją poezji, zawsze i wszędzie, niezależnie od historycznych przemian i uwarunkowań, nie było rozumienie jej jako sztuki wydobywania ze słowa więcej niż to jest możliwe w potocznej komunikacji? Tymczasem właśnie w zestawieniu z potoczną komunikacją wiersz „różewiczoidalny” przegrywa o wiele długości: jest od niej uboższy, nie bogatszy. W mowie codziennej nie tylko przecież krztusimy się i zacinamy. Również krzyczymy, szepczemy, perorujemy, śmiejemy się, szlochamy, ironizujemy, śpiewamy, szydzimy, zwierzamy się, snujemy rozważania, opowiadamy anegdoty, inscenizujemy dialogi, naśladujemy cudze głosy. Poezja nie jest po to, aby te wszystkie możliwości językowi amputować. Poezja jest po to, aby je podejmować i podnosić na wyższy stopień sensu. Nie musi się to dokonywać poprzez powrót do tradycyjnych systemów poetyckiego mówienia i wierszowania. Wręcz przeciwnie, walka z katarynkową regularnością musi się w dzisiejszej poezji toczyć nadal. Ale rozwiązaniem alternatywnym już od bardzo dawna nie jest ten typ nieregularności, który tak dalece się skonwencjonalizował, że sam brzmi jak nudna katarzynka.

* * *

L.Cz.

Późno dostałem od Ciebie
Wieść z krain skąd się nie powraca.
Wybacz, że przedtem o tym nie wiedziałem,
Gorzka odpłata.

Zgrzeszyłem wielce, grzech jak światło niesłem,
Grzeszyłem kładąc się spać, rano wstając,
Grzeszyłem chodząc, modląc się, czytając —
Nie karz mnie za to.

I będzie wina moja coraz większa rosła,
Z każdym oddechem, minutą, radością,
Hades bez miejsca bowiem zamieszkałem
Z wielką miłością.

Przestaną Twoje znaki tu docierać.
Ten jest ostatni. Więcej nic nie powiesz.
A ja zapomnę. Ale zmartwychwstaniesz
Śmiertelny Boże.

Wiersze Krzysztofa Koehlera zaciągają mnie i budzą moje nadzieje właśnie dlatego, że dobrze na nie reaguje moje ucho. Coś się dzieje w dźwiękowej warstwie tych wierszy — odbywa się w niej wielokierunkowy ruch ech, tonów i intonacji, który każe w sobie dostrzegać także ruch znaczeń. Słychać tu, inaczej mówiąc, giętki i zróżnicowany ludzki głos — nie tę monotonię mechanicznego głosu robota z filmów science fiction, która nudzi i męczy w typowym wierszu współczesnego debiutanta — i to głos mający nam, przy pozorach spokoju i opanowania, coś ważnego i pilnego do powiedzenia. Co? Odpowiedź przynoszą zwłaszcza takie wiersze jak „Lwów” czy „Wilanów”, w których Koehler objawia się jako poeta odkrywający na swój własny sposób odwieczną sprzeczność pomiędzy pozorną stałością fizycznych form a niepowstrzymanym przepływem czasu biologicznego i historycznego. Ważny jest jednakże nie sam zakres problemów i tematów, wśród których się obraca, ale to, że przykuwające jego uwagę sprzeczności znajdują swój formalny odpowiednik w napięciach przenikających materię słowną tych wierszy. Takie napięcia wytworzą tu przede wszystkim zjawisko metrum i rytmu: to ono reprezentuje na poziomie wiersza element schematycznej stałości, któremu sprzeciwia się i z którym wchodzi w wielorakie związki zmienny przepływ składni. Będąc poetą sprzeczności i napięć, Koehler musiał wysnuć wniosek z narastającego „zmęczenia materiału” współczesnej poezji: dominujące w niej konwencje są w swoich znaczeniowych efektach zbyt jednostronne i uproszczone, aby mogły dla jego celów wystarczyć. Witam ten debiut z zainteresowaniem i uznaniem, jakie budzi konsekwencja i ambicja: Koehler nie jest dziś z pewnością jedynym młodym poetą, po którym można się spodziewać pchnięcia poezji w stronę nowych obszarów, ale wiem, że warto będzie odłączyć się jego dalszym poszukiwaniom.

Stanisław Barańczak

Przedmowa do debiutanckiego tomu Krzysztofa Koehlera przygotowywanego do druku w krakowskiej Oficynie Literackiej.



rys. JACEK GAWŁOWSKI

Waleta Leszczyńska

(pożegnanie porucznika Bugajaka)

Zaspany kogut później tutaj
Budzi nocy ciszę, zawzięć
Muchy bzyczą w pełni lata
I sytość popołudnia wylega
Obficie wietrząc nudy okrycia
Na spłowiatach placach.

W ukłonach, giętkich gracjach
Jak zęby w starca ustach
Dwie wieże sterczą. Mur
Zwalony. Świadczenia nieme,
Że nad tą nieką, którą porósł
Perz, Bóg kiedyś był schylony.

Portrety, czarne prawie, złociste
Napisy, niewprawną ręką
Przenoszone w wieczność życia,
Niewiasty rozmodlona pierś
I nieodłączny cień w
Alabastrowej delty szczycie.

Złuszczone ulice. Wieść szybko
Rogatki przeciwległe brata.
W wytarty nieba strzęp
Głos się dobija i powraca
W dół, gdzie królowanie echa
Z wolna, lecz ciągle się rozszerza.

Świątynia

Adamowi, żeby nie...

„Poznałem stepowego podróż oceanu
Żeglowałem i w suchych stepach oceanu
Wjechałem na suchego stepy oceanu
Okrzyły mnie stepy na kształt oceanu”
A. MICKIEWICZ

Mucha. Świt Zmierzch. Jakis
Pagórek w tle. Wiersz.
Możliwe że dwa razy się
Nie zdarza ten sam dźwięk.

Ta sama fraza tkwi tam,
gdzie rytm dodaje krwi
biegowi sens, chociaż
czy ja wiem? Drzwi

uchylone, zrzędzi mucha,
a ręka kreśli nieustannie,
jakby INACZEJ było
tylko NIE i NIC innego.

Chociaż „wplynąłem”, „przestwór”
„stepy”, ptaki (żurawie?), Mirza,
pulpit, ręka, mucha,
skraj lasu, dusza

raz dzieją się
I pewnie tylko o to
chodzi, żeby spro-
wadzić do konsekwencji

prostej wszelki byt i
rytm: że tak akurat musi
być, jak jest lub będzie:
oddech, Czterydach, burzan, wers.

KRZYSZTOF KOEHLER — ur. 1963 r. w Częstochowie. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Publikował m.in. w „brulionie”, „NaGłosie”, „Res Publice”, i „Zeszytach Literackich”.

Nie jest to poezja patetycznego krzyku, mającego oddać chaos stającą się historii, ani poezja codziennego mówienia, odbijającego szary kolor zwyczajnej egzystencji. Nie jest to także poezja ciszy, która duchowo ocala, choć czyni to za cenę odcięcia od zewnętrznego świata.

W wierszach Krzysztofa Koehlera wola estetycznego kształtu, dążenie do piękna symbolizowanego i zakreślonego przez formę, z pewnością dominuje nad bezpośrednim zapisem doznań i przeżyć. Krakowski poeta chciałby w ten sposób jeszcze raz zharmonizować muzykę i kolor słowa, sensualność obrazu, głębię emocji, ład myśli — tak, by stworzył całość zagarniającą wrażliwość czytelnika według zasad, które wydają się absolutnie jasne i przejrzyste, a jednocześnie wymykają się racjonalizowaniu.

Taka harmonia, obejmująca wszystkie warstwy dzieła i pomagająca opanować ciemność zewnętrznego i duchowego świata, okazuje się jednak problematyczna, trudno osiągalna... Rzadko symetria zdań, regularność rytmu, czystość rymu brzmi naturalnie, jak coś koniecznego, przypominającego dawną poezję.

O wiele częściej całościowy ład zalamuje się, zakłócony przez nieregularność rytmu i oddalenie rymu, podmywany przez podskórną ironię form, wąpiących w swą celowość i doskonałość.

2. Pragnienie harmonii i jej rozbijanie, odsłanianie miejsc, w których „forma z formą mijają się” nie jest u Koehlera tylko kwestią poetyki. Kiedy wyznaje on w poemacie „Wilanów”

Zgubiłem miarę. Zbyt niespójny rytm.
Sypałem w palcach gruz i pył,
Widziałem gruz i pył, i śmierć,
Nieustający wody bieg

— to słowa te nie są tylko wtajemniczeniem w technikę poetycką, lecz zarazem wskazują zasadniczy temat i ton wielu wierszy. Bo — „pył”, „gruz” i „śmierć” to wyraziste znaki ewokowanej przez Koehlera rzeczywistości. „Zwycięską pieśń rozwieje wiatr, Nastanie blada cisza śmierci.” — powiada poeta w wierszu „Jesień”. A gdzie indziej: „...nie ma wrzasku ni płaczu”, grzyb tylko. I deszcz ślady zmywa. I śmierć”.

Trochę inaczej: świat poezji Koehlera to świat intensywnie widzialny, dotykany, na-

rzucający się pamięci; a zarazem nieustannie zagrożony rozpadem, pogrążający się w nim, nie znajdujący w sobie skalającego i ocalającego centrum, nieuchronnie rodzący przekonanie, iż „Nic nie uchroni przed niebytem”.

„Ślepe dotknięcie losu” nie obezwładnia, nie wywołuje dramatycznych — a tym bardziej historycznych — gestów. Jego efektem jest postawa, w której wewnętrzny spokój łączy się z rezygnacją:

Obrazy jakie jeszcze będą mi ofiarowane
Bym szybciej pojął własną nieudolność?
Jaką jeszcze pięknnością doświadczysz
mnie Panie?

Połączenie „piękności” i „doświadczenia” nie jest przypadkowe. Zrezygnowany spokój (spokojna rezygnacja) zmienia dotknięcie losu w doświadczenie estetyczne: doświadczenie piękna i przez piękno... Taka estetyzacja istnienia chroni przed „zwycięstwem nocy”, bo pozwala spojrzeć na własne życie tak, jak się patrzy na zamknięte, autonomiczne dzieło sztuki. I może ten właśnie moment wyzwala, przypomina:

Głowę w pionie utrzymuj, dumnie,
Chociaż chwili ulamek potrwa to.

I może ten właśnie moment pozwala dostrzec, iż:

Nad rzeki brzegiem
Pośród wrzasku miast
Requiem pogodnie
Nieustannie trwa.

To, co nieustannie trwa, to, w czym trwamy — to „pogodne requiem”. Ta właśnie metafora była dla mnie od pierwszego zetknięcia z wierszami Krzysztofa Koehlera najkrótszym i najlepszym wprowadzeniem w świat jego wyobraźni.

3. Wiersze Krzysztofa Koehlera osadzone są mocno w polskiej tradycji poetyckiej, co z pewnością opiszą przyszli komentatorzy. Dzisiaj istotniejsze zdaje się spostrzeżenie, iż postawa Koehlera, jego szczególnie estetyzm — to jedna z możliwych odpowiedzi na ten nurt w poezji lat osiemdziesiątych, w którym wartości etyczne pojawiły się obok wartości estetycznych (czy nawet ponad nimi). Dodaje to poezji Koehlera dramatyzmu, stawiając jej autora w rzędzie tych, którzy próbują przekroczyć poetycki horyzont zakończonej właśnie dekadą. To, czyje racje i czyja poezja okaże się w tym sporze istotniejsza, pokażą najbliższe lata.

Marian Stala

film

Dzieje jednej szyby

czyli Jak rozpętałem stan wojenny

Pamiętam jak dziś. Toczyliśmy bój nasz, w przeczuciu, że może być ostatnim. W samo południe dwunastego grudnia roku pamiętnego szturmowaliśmy kino. Kino nazywało się „Pierwszy Maj”, ale nam nie szło o nazwę. Nam chodziło o film. Film w owym czasie nie najnowszy — bo dziesięciolecie. Walczyliśmy o to, by obejrzeć film Andrzeja Wajdy — Pilat i inni.

To była konieczność. Te kilkadziesiąt osób musiało zobaczyć ten film. Koleżanka ze szkoły teatralnej (dziś znakomita aktorka) prowadziła nas jak Wolność Lud na Barykady. Bileterzy nie brali do ręki — byli przecież jak i my — Solidarni. Kino nabite, a tu jeszcze tylu chętnych — co mieli robić. I wtedy mój but — historycznej już dziś marki „traktor” — jakoś tak sam poszedł na drugą stronę szyby. A ja za butem. Wolność za mną, a za nami reszta...

Iskrówka o tym incydencie błyskawicznie dotarła tam, gdzie od dawna pożądana wiadomości o pierwszej wybitej szybie. Decyzja generałów mogła być tylko jedna. O północy na terenie całego kraju wprowadzono mniejsze zło.

To wszystko zaczęło się znacznie wcześniej. Jeszcze za Edwarda. Trzeba przyznać, że Gierek był jaki był, ale film zareklamować potrafił. Kampania promocyjna takiego *Człowieka z marmuru* to była wspaniała robota. Przede wszystkim żadnej reklamy. Żadnych wzmianek w prasie i afiszy czy, nie daj Boże, reklam w telewizji. Kino „Wars” — jedyne, w którym film wyświetlano — zniknęło z repertuarów w prasie codziennej. Byłem pod tym kinem w drugim dniu pokazów. Na zazwyczaj opustoszałym Nowym Mieście zebrało się nas kilka tysięcy. I tu zajął się w pełni mistrzostwo polityków od kultury. Po dwu tygodniach z repertuarów w gazetach zniknęły dalsze dwa kina. *Człowieka z marmuru* obejrzały miliony ludzi. Potem pojawiły się kolejne filmy. Przed kinami, w których prezentowano nowe filmy polskie, zaroilo się od

„koników”. Do kina wrócili ludzie, którzy już długo przedtem zapuścili bamboszewe korzenie przed telewizorami. Lecz przede wszystkim w ciągu tych czterech lat wyrosło pokolenie dla którego pojawienie się nowego polskiego filmu miało swoją wagę, widzów, którzy o tych filmach rozmawiali, czytali. Widzów gotowych zacząć myśleć. Temperatura z roku na rok rosła. Coraz więcej i więcej ludzi uczestniczyło w bitwach o *Jak żyć*, *Robotników 80*, *Człowieka z żelaza*. Oczywiście należało położyć temu kres. Na szczęście znalazł się jeden widz, który był tak niezręczny, że wybił butem szybę w kinie. Tę szybę, na którą generałowie czekali długie cztery lata. Szyba (obecnie mniemam przechowywana w Muzeum

Wojska) pękła. Można było wystać czolgi.

Stan wojenny wprowadzono przeciw filmom. Czy właściwie przeciwko temu fenomenowi, jakim na przykład jest ludzka rozmowa, przedstawienie teatralne, film wreszcie. Do zaistnienia filmu zasadniczo potrzebne są dwie grupy ludzi — twórcy i publiczność. Z obiema tymi grupami należało się rozprawić. Do tego celu wynaleziono pewnego młodzieńca (nie przyjętego do ZOMO zapewne ze względu na nikczemny wzrost). Każdy kto był komunistą albo dzieckiem wie, że łatwiej jest burzyć niż budować. Także ten, niezbyt rozgarnięty facet i jego kompani spokojnie dali sobie w tym radę. Zresztą mieli w tym poparcie samego generała, który jeszcze w 1985 roku twierdził — „My nie będziemy promować młodzieży o zachwaszczonych świadomości politycznej” (styl może nie najlepszy, ale to często zdarza się, gdy idzie o przykład z niemieckich klasyków).

Jest rok osiemdziesiąty drugi. Wzmiankowany wyżej młodzieniec, z pewnością nie zachwaszczony, dziarsko bierze się do roboty. Musi, przypominam, z kina wyeliminować dwa czynniki — twórców i widzów.

Z twórcami nie było wielkiego kłopotu. Filmowiec, w państwie totalitarnym jest skazany na współpracę z reżymem. Reżym natomiast nie jest skazany na współpracę z nikim. Zresztą większość polskiej czołówki filmowej miała w tym momencie taką pozycję w dalekiej Europie, że od reżymu mogła potrzebować co najwyżej paszportu. Tak został wykonany pierwszy krok. Krok na drodze budowy R.P. (Rumunii Północy). Kolejnym krokiem było zapewnienie twórcom pełnej swobody twórczej. To nie jest przejęzyczenie. Naprawdę uważam, że w tych latach wolno było nakreślić każdy bzdet, każdy nonsens. Zaczął się złoty okres kina niemelego, głuchego i ślepego. Kręcili wszyscy — niewydarzeni aktorzy, niezdolni operatorzy, margines środowiskowy.

poezja murów



Gdańsk, ulica Leningradzka.

Oczywiście kręcili też przywoici ludzie, przyzwoite filmy, na ogół potwierdzając to co wszyscy widzieliśmy. Filmy szły na półkę. Powstało też kilka obrazów wybitnych, tylko parę dobrze zrobionych filmów. Na osiem lat to stanowczo niewiele.

Publiczność tego znieść nie mogła. Po kilkunastu czy nawet tylko kilku wypadkach na sam widok plakatu filmu polskiego widz uciekał choćby do Indii.

Tymczasem do kina wchodziły nowe roczniki widzów. Oni już nie mają okazji, aby zainteresować się filmem polskim lub przynajmniej poczuć do niego sympatię.

Po prostu starych filmów się nie puszcza, nowych jest za mało. Lecz nie samym kinem polskim człowiek żyje. Oczywiście, istniały na świecie kraje, których produkcja filmowa znajdowała się poza zasięgiem pały generała. Produkcja owszem, ale nie rozpowszechnianie tych filmów w Polsce. Tu do akcji wkroczyli krytycy filmowi. Krytyka filmowa wciągnęła na maszt czarną flagę i ogłosiła permanentny kryzys kina światowego. Starzy mistrzowie w piętkę gonią, nowych oczywiście nie widać. Następnie ci sami ludzie działający w tak zwanej komisji zakupów zaczęli dostarczać nam dowodów ostatecznego upadku kina światowego. Operacja ta odbywała się pod hasłem „Świat zwariował! Jeśli chcesz iść do kina — mózg zostaw w domu!”

Jeśliby stworzyć listę stu najlepszych filmów dekady, którą w Polsce uczczono stanem wojennym — to dobrze się stało jeśli dziesięć z nich trafiło na polskie ekrany. Nie chodziło o pieniądze — w tym samym czasie sprowadzano wszystkie bodaj najdroższe filmy wszechświata. Chodziło o to, by wychowywać generację pacanów, którym kino będzie się kojarzyć wyłącznie z mordobiciem, korupcją nowojorskiej policji, ewentualnie jakimś skośnookim dziadkiem, który ma niezwykłą parę w palcach, albo co ciekawsze w oczach. Chodziło o to, aby już nigdy nikt nie wybił ani jednej polskiej szyby wdzierając się na polski, czeski czy brytyjski film. Istnieje tylko jeden bezpieczny sposób na zostawienie mózgu w domu — zostać razem z nim. Widzowie odwrócili się plecami do kina. Strategiczny cel stanu wojennego został osiągnięty. Można było siać do okrągłego stołu. I wzniesić toast:

*Był polski film urwany
była polska szyba cała*

Wojciech Tomczyk

KOŁBASKOWO NEWS

NAZI FUCK OFF!



Warszawa, ulica Dowcip.

● 23.06. w Warszawie Instytut Badań Problemów Młodzieży, Społeczny Komitet Pomocy Inicjatywom Młodzieżowym i Ruch *Wolność i Pokój* zorganizowały I Ogólnopolską Konferencję Grup i Organizacji Młodzieżowych, w czasie której doszło (oczywiście na korytarzu) do chwalebnej pierwszej, historycznej, pokojowej dyskusji między krótkimi a długimi włosy (Narodowe Odrodzenie Polski kontra zieloni, czarni etc.). W ciągu ostatnich miesięcy w Warszawie w trakcie imprez muzycznych z rąk skinheadów zginęły trzy osoby. ● Także 23.06. w Warszawie odbył się zjazd *WiPu*. ● W Galerii „Entropia” (Wrocław) w czerwcu: Piotr Kłosowicz z wystawą pt.: „Przygody Koziołka Matołka”; Jerzy Starzyński: „Słowa i rzeczy”. 19.06. zagrała „The Party Machine”. ● Orange Watergate. Rzecznik prasowy Pomarańczowej Alternatywy Krzysztof Albin ujawnia dramatyczne fakty z finansowego życia P.A. Niejako przy okazji występuje także z procesem przeciwko „Gazecie Wyborczej” (prawo prasowe i art. 23 kodeksu cywilnego) zarzucając jej druk fałszywych informacji, zmienianie tekstów sprostowań etc. Termin rozprawy wyznaczy sąd wojewódzki we Wrocławiu. (W przygotowaniu większy artykuł na ten temat.) ● 27. czerwca o godzinie 18. w łódzkiej galerii Manhattan (ul. Wigury 15) „Wspólnota Leeceć”

objawiła „Kaszane”. ● Do Poznania ze Szwecji wrócił „Patyczak” z rowerem, maszyną do pisania i z kolczykiem w ustach. ● W Poznaniu 23.06. w klubie Bratniak odbył się koncert 11. zespołów hardcore’owych. Grały między innymi: „Apatio”, „Brudy”, „How much longer”, „Schismopathic”. ● Na 2. lipca zapowiadany jest w warszawskich „Hybrydach” koncert „Exit Condition”. ● „Dezterter” w Japonii, Preliminarz koncertów: 30. June i 1. July na festiwalu w Kawasaki, 3. July w Nagoya, 4. July w Osace (kontrakt przewiduje zwrot kosztów podróży i zadośćuczynienie artystom także w przypadku interwencji Boga, wojny, epidemii oraz zmian prawa i porządku na wyspach japońskich). Do „Deztertera” można

pisać, dzwonić, faxować i teleksować: SUN ROUTE HOTEL 2-31, Yoyogi, Shibuya-ku, Tokyo, tel.: 03-375-3211, fax: 03-379-3040, tlx: 2422788 HSRTKY J.

Papiery

Z okazji dziesięciolecia Gdańskiej Alternatywy nadmorskie RSA wydało jubileuszowy, 44. numer „Homka”, a wkrótce potem następny, zawierający praktyczne wskazówki jak zorganizować ludzkie miasto.

Ukazały się: 6/7 numer „Spartakusa”, 11. „Czerwony Kapturek” oraz kolejny biuletyn Inicjatyw Społecznych. ● We Wrocławiu wydano książeczkę SZABLONY '90

管轄区域外の興行に係る職員同行者約書

当社が招聘する下記外国人芸能人に係る東京入国管理局管轄区域外の山梨県での公演については、当該芸能人の山梨県訪問期間中、当社職員が同行し、精算契約に基づく管理を執行するとともに、その指図新法にも適宜なるよう充分に留意することを要約致します。

記

- | | | |
|--------|---------|-----------------------------------|
| 1. 芸能人 | ア 国 籍 | POLAND |
| | イ 氏 名 | MACIEJ CHMIEL and other 3 persons |
| | ウ グループ名 | DEZERTER |

ZIMA MROŻNA (POWIEDZIAŁ TO W ROKU 1975 BOGDAN KUBAT W I LO W GDAŃSKU NA LEKCJI ASTRONOMII). ■ GWADELUPA WYLEWKI...

KOŁBASKOWO

PISMO SUPRANIEZALEŻNE □ Nr 3 □ 1 LIPCA 1990 □ redaguje ZBIGNIEW SAJNÓG

Słowo LOHA i jego znaczenie w życiu jednostki

Zacznijmy od stwierdzenia, które każdy inteligentny człowiek powinien przyjąć a priori:

LOHA nie ma nic wspólnego z LOCHA, a wręcz przeciwnie!

Wbrew pozorom, doniosłość i wagę tego sformułowania, w obliczu najnowszych osiągnięć językoznawstwa, trudno jest przecenić. Stanowi ono bowiem bazę dla następujących, ważkich konkluzji:

— LOHA pisana przez samo „H” jest czymś zupełnie innym niż LOCHA pisana przez „CH”;

— jeżeli LOCHA pisana przez „CH” posiada ogólnie znane, realne znaczenie (gwoździ przypomnienia — samica dzika), tak LOHA takiego znaczenia nie posiada.

I teraz najważniejsze:

LOHA NIE POSIADA W OGÓLE ZNA-CZENIA, czyli może oznaczać wszystko. A czym jest wszystko, nie wiemy. I teraz dochodzimy do sformułowania drugiego, jakże istotnego aksjomatu:

— LOHA znaczy tajemnica czyli wszyst-ko!

Jeżeli LOHA jest wszystkim, nie jest więc niczym — czyli istnieje. Jeżeli desyg-nat słowa LOHA istnieje, jest on wszyst-

kim. Czyli każde zjawisko, każdy przedmiot, wszystkie osoby, które możemy zarejestrować narządami swojej dramatycznie ograniczonej percepcji to LOHY.

Budząca zainteresowanie jest też sama artykulacja słowa LOHA. Nietrudno zauważyć, że można je wymówić tylko w jeden, ściśle określony sposób, ażeby zabrzmiało ono w całej pełni swej doskonałości. Dźwięczne „H” wymaga określonego napięcia i barwy głosu oraz czasu artykulacji, tak więc istnieje tylko jeden niezawodny sposób wypowiedzenia tego słowa i w fakcie tym drzemie jego siła. LOHA jako znak graficzny nie odgrywa większej roli, zaś LOHA wypowiedziana, będąca sygnałem tonicznym, przywołuje wszystkie możliwe byty, bowiem nie zna-czy nic konkretnego, a zatem może i jed-nocześnie oznaczać wszystko.

A więc tylko LOHA i pełne zrozumienie roli jaką odgrywa to słowo w życiu jedno-stki może rozwiązać wiele egzystencjal-nych problemów, z którymi boryka się wielu ludzi w naszych tak ciężkich cza-sach.

Artur Kozdrowski

Ruch „Wolność i Pokój”

Powstanie — wiosna 1985.
Rozwój — do 1988.
Rozkład — następuje, choć Kraków te-mu przeczy.

„Deklaracja ideowa” z 1985 roku obej-muje:

1. Prawa człowieka
2. Wyzwolenie narodowe
3. Zagrożenie wojną, międzynarodowy ruch na rzecz pokoju
4. Ochronę środowiska
5. Głód na świecie, pomoc charytatywna
6. Rozwój człowieka
7. Tolerancję

I (o cudzie!) poza udzielaniem pomo-cy charytatywnej głodującym — idee te rzeczywiście realizowano.

A było to tak: po prostu idejki przelo-żono na bieżące cele, możliwe do osią-gnięcia w miarę szybko.

CELE BIEŻĄCE:

— zwolnienie skazanych i aresztowa-nych za odmowę pełnienia służby i złoże-nia przysięgi wojskowej (udało się, choć walka trwała dwie rundy);

— wprowadzenie prawa do służby za-stępczej (to też się udało);

— zmiana rot przysięgi wojskowej (zmieniono);

— wykazanie zachodnim pacyfistom, że istnieją nie tylko amerykańskie rakiety, że od pałki policyjnej również można zginąć, że nie będzie pokoju, dopóki nie zwalczymy systemów totalitarnych (wielu zrozumiało);

— uderzenie na alarm w sprawie ekolo-gii (jest głośno) i uczynienie z ochrony środowiska ważnego problemu społecz-nego i politycznego. (Problem jest coraz większy, choć tu sukcesy nie są i nie mogą być tak spektakularne. „WiP” skoncent-rował się na szczególnie zbrodniczych poczynaniach i projektach trucicieli; huta „Siechnice”, Żarnowiec, Klempicz, „Śmielnik atomowy” w Międzyrzeczu, azbest w budownictwie i parę innych świństw zaatakowaliśmy bez pardonu. W efekcie coś tam zamknięto, coś obieca-

no zamknąć lub zmodernizować, z Żar-nowcem bitwa wciąż trwa, choć pateczkę przetyła małolaty.)

METODA DZIAŁANIA:

non-violence, walka bez użycia prze-mocy.

ŚRODKI:

— odmowa współdziałania (indywidua-lne akty odmowy służby lub złożenia przysięgi wojskowej, nieptacenie nakładanych przez kolegia grzywien);

— demonstracje (siedzące, leżące, wi-szące, stojące, chodzące, poważne i hap-peningowe, na ziemi, wodzie i w powietrzu);

— petycje;

— głodówki;

— jak najszersza informacja o wszyst-kich działaniach i ewentualnych repres-jach (własne gazety i informatory, radio, prasa zachodnia i podziemna).

Ma też „WiP” trochę zasług w zmianie profilu i „wyluzowaniu” gazet młodzieżo-wych: collages, jaja i odloty złamały szty-wne szpalty i pogoniły męczeńską dewo-cję.

LUDZIE: katolicy, anarchiści, anar-cho-katolicy, hippiesi, patrioci, punki, na-rodowcy, muzycy, poeci, politycy,, w przedziale od kilkunastu do trzydziestu wiosen. Była to mieszanina wybuchowa cywili dotkniętych zespołem nieprzysto-sowania do wojskowizacji i pragnących żyć w cywilizacji. Światopogląd tych ludzi kształtował stan wojenny. „WiP” to dziec-ko 13 grudnia.

CO TERAZ?

No cóż, rozkład. Naturalny los każdej „grupy zadaniowej” po spełnieniu zada-nia. Naturalny los każdej kontrkultury upu-pionej przez modę. Naturalny los każdego pomysłu politycznego porzuconego przez polityków, którym już co innego się opła-ca.

To, co żywe starzeje się i umiera. Ale nie znika bez śladu. Na użyźnionej glebie wyrasta Nowe. Ruch „Wolność i Pokój”...?

Wojciech „Jacob” Jankowski

Pieniądz, poczta. (projekt; cz. 1)

1. Sprawa wyniknęła niby to przypadkiem — ale my już się znamy na takich przypadkach i na sprawach. Poczuliśmy wysoce skomplikowaną lukę i wiele doku-czliwych niedogodności w obrocie alter-natywnym. Zaczem postanowiliśmy zna-leźć sposób na ominięcie przykrych wymia-ny gotówkowej między kumplami i jeszcze bardziej przykrych sytuacji, kiedy to przyja-ciółom nie starcza forsy na kupienie tego lub owego niezależnego produktu. W przypadku pro-duktów z zagranicy pro-biem jeszcze znacznie urasta (niektórzy ratują się wymianą rzeczową: płyta za płytę, czy kilka płyt polskich na jedną zachodnią itp.). Zatem po analizie fak-tów, stworzyliśmy projekt wypełnienia owej luki po-między wymianą a pienią-dzem, wprowadzając wy-sublimowany rodzaj wy-miany posiłkowej przez za-stosowanie papieru jako-ściowego (w przeciwieńst-wie do wartościowego). Pa-pierowi jakościowemu pro-pujemy nadać nazwę: ja-nas (dla drobnych: cesar, dla grubych: hryń) — na-zwy dla uczczenia pamięci historycznych aktywistów Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego.

Rozważa się kilka propozycji sposobów wprowadzenia janasa na rynek. Oto jedna z nich. Najpierw przyjęliśmy generalną zasadę niewymienialności janasa na żad-ną z normalnych walut. Janas byłby do zdobycia tylko drogą wymiany za „wyroby alternatywne” (pisma, taśmy, ubiory, dzieła sztuki etc.) i bilety na imprezy. Takiej wymiany można by dokonywać w kantorach wymiany janasów, które jed-nocześnie funkcjonowałyby jako butiki,

przeżyciu, czyli zagryzaniu, janas jako swoista, unikatowe dzieło-dokument, był-by archiwizowany i umieszczany w peri-odycznie drukowanym katalogu janasów — dzieł rękodzieła alternatywnego. Mówi-łoby się: oto janas o jakości 15 transakcji na terenie tyłu to a tyłu miejscowości, czy krajów, i z udziałem takich oto podmiotów.

Z założenia, każdy kantor-butik byłby bankiem emisyjnym janasów wchodzą-

Paweł Mazur (Paulus) HISTORYK

Kazimierz Wyka po powrocie z uniwersytetu zastał swoją żonę kąpiącą się z łysym grubasem. Podchodząc do wanny stwierdził „Przecież tu mieści się tylko jedna osoba” Żona odparła mu „Zajmij się lepiej swoim Baczyńskim”.

Na co Kazimierz wyszedł z łazienki przeszedł cały swój długi korytarz otworzył drzwi wejściowe i powiedział: „Wchodź Kamilku!”

cym w skład unii takich banków, powoła-nej w celu kultywowania idei i rozstrzyga-nia przypadków spornych (gdy na przy-kład osoba przynosząca towar do kantoru czuje się pokrzywdzona jakością wymiany).

Wprowadzenie janasa nie oznacza chę-ci zmonopolizowania nim obrotu alter-natywnego. Równoległe może istnieć sprze-daż wyrobów za pieniądze. Uatrakcyjniać janasa mogą limitowane edycje produk-tów alternatywnych przeznaczonych wy-lącznie do wymiany za janasa, imprezy z wejściem wyłącznie za janasy oraz specjalne cechowanie przed-miotów biorących udział w wy-mianie janasowej (sygnowa-nie, pieczętowanie, uzupełnia-nie o specjalne dodatki).

Taka forma zapośredniczo-nej janasem wymiany kultury za kulturę, niosłaby wiele ko-rzyści. Fakt, że janasa nie ku-puje się za pieniądze, ale otrzy-muje za produkt alternatywny, aktywizowałby produkcję i ruch wymiany. Janas stawałby się kategorią aktywności, a nie prawa rynkowego — za janasy będzie można dostać zarówno pismo drogie w obrocie pienię-żnym, jak i darmowe. Jedno-cześnie wykonując przedmiot alternatywny, można by w pełni pozwolić sobie na produkcję nonkonformistyczną, poza pra-wami rynku pieniężnego.

Janas miałby jakościowe po-kręcie w samym sobie (katalogo-gowany dokument wymiany) i w przedmiotach wymienian-nych przez banki emisyjne.

Jeśli wszystko jest za darmo, to się ludzie demoralizują, jeśli wszystko jest za forsy, to się materializują (he, he). Janas może stać się uwolnioną od niezręczności i hańby gratyfi-kacją za usługi, przysługi, wy-równaniem nie odbytych prac społecznych i pięknym prezentem o uroczym posmaku nieokreśloności. Janas jest też interesującą propozycją wymiany alternatywnej z za-granicą, pomimo ekonomicznych różnic. Wreszcie można za janasy dawać dupy bez grzechu, złej opinii i bez ujmy na honorze.

Normalne pieniądze proponuję od mo-mentu wypuszczenia janasa nazwać pier-dziochami lub śmierdzielami.

(Za czułą współpracę w opracowaniu projektu dzięki-uję Yo Als Jetzt)

Zbigniew Sajnóg



ANDRZEJ AWSIEJ

wystawy i czytelnie wyrobów alternatywnych — rozlokowane w powstających z wolną ośrodkach i klubach. Ideałem byłoby, gdyby na rynek janasa można było wejść jedynie drogą wyprodukowania produktu alternatywnego, czyli całkowite rozwalowanie janasa, czyniące go pa-pierem środowiskowym i niedostępnym prostym (konsumpcyjnym) umysłem. Janas nabierałby jakości w miarę użycia. W momencie wypuszczenia byłby odpo-wiednio pieczętowany, a każde kolejne jego użycie byłoby na nim sygnowane. Po

GWADELUPA WYLEWKI — BYT WYODRĘBNIONY, POJEDNAWCZY, WYDAWANY W TOWARZYSTWIE TYGODNIKA LITERACKIEGO Z RACJI JEGO

Irena Krzywicka

Pierwsze podboje

Od tam zaczęliśmy się spotykać z Boyem prawie codziennie, a telefonować do siebie kilka razy dziennie. Zaczęły się nieskończone, wielogodzinne spacerunki. Wsiadywanie w małych, anonimowych kwiatownikach, w cudownym osamotnieniu. Ale jednocześnie premiery (bo zaczęłam od tam stać bywać na premierach) i spotkania, jakże płodne intelektualnie, w Ziemiańskiej.

Moją pierwszą w życiu premierą był *Budowniczy Solness* Ibsena 27 kwietnia 1928 roku w Teatrze Narodowym. W czasie antraktu Boy podbiegł do mnie, nie powiedział, tylko spojrzał mi bardzo głęboko w oczy, zrozumiałam. Treścią tej zapomnianej chyba sztuki jest miłość starzejącego się architekta do młodej dziewczyny, która wtargnęła w jego życie, skłaniając go do nowych wysiłków, zmuszając niejako aby sięgał coraz wyżej, coraz dalej (aż do śmierci włącznie, ale na szczęście ja nie byłam takim wampem). Recenzja z tej sztuki została napisana dla mnie.

Boy był namiętnym piechurkiem i ganiał mnie całymi kilometrami, głównie przez most Poniatowskiego, nad Wisłę. Jego siły fizyczne, wytrzymałość i odporność, były zdumiewające. Nigdy nie poczułam, że jest starszy ode mnie o dwadzieścia pięć lat. Był młodzieńcem wieku lat sześćdziesięciu, a nawet dłużej. Byłby żył bardzo długo, w pełni sił, tak jak jego ojciec. Ale co tam o tym mówić!

Po pewnym czasie wyznał mi swoją miłość, dosłownie: „Ależ ja jestem w pani zakochany”. Całowaliśmy się trochę po bramach, kiedy odprowadzał mnie wieczorem, ale nie miałam zamiaru żyć z nim jak z mężczyzną. Broniałam się przed tą ewentualnością przez kilka miesięcy, co było tym trudniejsze, że byłam bardzo zakochana. Szamotałam się ogromnie, schudłam, zmizerniałam. Boy, niegodziwiec, używał nieodpartego na pozór argumentu: „Jestem już stary (miał wówczas lat 53), to co może być między nami nie potrwa długo, dlaczego mi pani żałuje paru chwil szczęścia?”. Zresztą mówił to szczerze. Uważał się za starego, był dotąd w stanie permanentnej melancholii — która raptownie minęła. Nowa miłość pobudziła nie tylko jego zmysły, ale i umysł. Popadł w stan wielkiego podniecenia intelektualnego i zaczął spać już nie wierszami (ten czas minął na zawsze), nie tłumaczeniami, ale nie ograniczając się do (znakomitych zresztą) recenzji teatralnych wystąpień jako autor wielkiej liczby felietonów, które później zebrane utworzyły książki. Zdobywał mnie niejako tym pisaniem, wprawiając w zachwyt i zdumienie, jeszcze potęgując moją miłość, której ten zachwyt i zdumienie były potrzebne. Było to dla mnie upajające przeżycie. I ja się zabrałam ostrzej do pisania. Ale Boy dosłownie trysnął twórczością i od tego, 1928 roku, zaczyna się nowy okres w jego piśmiennictwie, co już zauważył niejeden krytyk, nie zdając sobie sprawy z przyczyny tego niespodziewanego i spóźnionego wybuchu. (...)

To w pewnej mierze zadziwiające, że okres, który dla całego świata był okresem narastającego kryzysu, w mojej pamięci został jako czas prosperity. Dla ukoronowania tego roku 1928 przeprowadziliśmy się z zimnego, ponurego mieszkania teściów do sześciopokojowego, pięknego apartamentu tuż przy placu Trzech Krzyży. Panowała wówczas, w czasie rządów Piłsudskiego, zupełna wolność słowa i przyjemnie było pisać to, co się myśli, bez żadnego skrępowania, zwłaszcza gdy się miało takiego redaktora jak Grydzewski, który nie narzucał niczego, czasem tylko proponował i to zazwyczaj słusznie. Z jego inicjatywy Boy napisał o Mickiewiczu, a ja zaczęłam pisać swoje reportaże sądowe, które do dziś są dyskutowane na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

Piłsudski był postacią niezwykle malowniczą, można by powiedzieć poetyczną, zwłaszcza że widziało się w nim wcielenie prorockich wieszczów. To on właśnie symbolizował dla nas Polskę. Tylko, że ta Polska też nie była taka jak się marzyło. Słowo Polska brzmiało dumnie, wzniosłe i szlachetnie. A tu więzienia, a tu policja, a tu nieudolność i zła wola w traktowaniu mniejszości narodowych. Podczas naszej podróży poślubnej do Jaremca zobaczyliśmy na własne oczy wrogość Ukraińców. Żydzi byli nadal sztucznie izolowani od społeczeństwa, na Litwie i Białorusi też nie działo się dobrze. Zdawało się, może najwinnie, że Polska umęczona i odrodzona będzie krajem odmiennym od innych, sprawiedliwszym, bardziej czułym na cierpienia, że jej męki i krwawe ofiary nie pójdą na marne. Tymczasem, okazało się, że Polska jest państwem jak każde inne i że ujawniły się w niej groźne i nad miarę potężne siły: Kościół i endecja.

Kościół sprzymierzył się z tym, co było najbardziej ciemne i obskurantkie. To nie był Kościół dzisiejszy, który szuka dróg tolerancji, tylko ciemna siła wroga wszelkiemu postępowi. Prawica stanowiła większość w narodzie, a w każ-

dym razie była najbardziej widoczna, najbardziej krzykliwa i większość prasy znajdowała się w jej rękach.

Tragiczna śmierć Narutowicza już w 1922 roku ukazała do czego prawica jest zdolna. Przeciwwaga była nie w komunistach, którzy okazali się słabi i podejrzani o kontakty z obcym państwem, ale w Piłsudskim, który nienawidził endeków jeszcze starą PPSowską nienawiścią. W znakomitych szopkach, pisanych przez Skamandrytów, było wiele na jego temat, a on nie tylko nie bronił, ale prosił żeby z tą szopką przyjechał do Belwederu. (...) Kiedy w parę lat po przewrocie majowym spotkałam Piłsudskiego nos w nos w Alejach Ujazdowskich, idącego sobie po prostu po chodniku, bez żadnej obawy z wyjątkiem adjutanta, który szedł kilka kroków za nim, widziałam jak klaniali mu się wszyscy przechodnie, i ja ukloniłam się pierwsza. Podziw dla tego człowieka był silniejszy niż wszelkie zastrzeżenia. I gdyby nie późniejsze, obraźliwe dla narodu, przemówienie do „fajdanów”, gdyby nie Brześć czy Bereza...

Dostałam wówczas, jak pisałam, wielu szczęście, a między innymi tego, że dostałam się już bezapelacyjnie na „górkę” w Ziemiańskiej. Po zamknięciu kawiarni Pikadora to półpiętro stało się sławne. Skamandryci okupowali na stałe stolik, który stał się przedmiotem zachwyty dla jednych, przedmiotem zawiści i nienawiści dla innych. Ta zawiść i nienawiść były dość dziwne, ostatecznie młodzi poeci mieli prawo zarezerwować sobie ten czy inny stolik i zapraszać do niego tych, których pragnęli. Stał się on rodzajem klubu, bardzo zamkniętego, to prawda, już choćby ze względu na szczupłość przestrzeni, jaką stolik, kanapka i otaczające krzesła mogły zajmować. Ale, jak wspominałam Lechoń, który tam „urzędował” stale, wprowadził surową selekcję. Do stolika nie byli dopuszczani ludzie bez talentu. Kobiety pojawiały się tam rzadko ale je tolerowano gdy były piękne. Jakoż piękne były żony poetów: Iwaskiewiczowa, Konarska (późniejsza Słonimska), Wierzyńska, Tuwimowa. Ale te panie przychodziły rzadko, zazwyczaj nie interesowały ich intelektualne rozmowy, żonglowanie słowami, dowcip polityczny.

W owym czasie z całej grupy Skamandra najwyższą cenioną jako poeta, był właśnie Lechoń. Nie podzielałam tego poglądu. Jego wiersze wydawały mi się zbyt urzekające, zbyt deklamatorskie, akademickie, a forma ich nie była w moim pojęciu dość bogata i urozmaicona. W porównaniu z wulkanicznym wybuchem poezji Tuwima, jego odnową języka i wiersza, z intelektualizmem i mistrzostwem Słonimskiego, radością życia młodego Wierzyńskiego, Lechoń wydawał mi się staroświecki. Poezji Iwaskiewiczowa nie lubiłam, ale za to jego proza miała od razu czar urzekający.

Spotykaliśmy się codziennie, od pierwszej do trzeciej. Potem już półpiętro bywało zazwyczaj puste. Boy czuł się dobrze wśród tych młodych, sam odmłodzony tak bardzo, że wszyscy, co go jakiś czas nie widzieli, byli zdumieni jego wyglądem. Do moich zwolenników należał nie tylko on, ale i Grydzewski, który niejako był mi patronem od początku mojej pisaniny („Głosu Robotnika” nie liczę) i którego życzliwości i redaktorskiej inicjatywie, wiele zawdzięczam. Do moich przyjaciół, od pierwszej chwili należał też Słonimski. Nigdy nie było między nami nic erotycznego, a przyjaźń nasza przetrwała całe życie.

Lechoń wkrótce wyjechał na placówkę dyplomatyczną do Paryża, a królowanie przy stoliku objął Antoni, o wiele bardziej tolerancyjny w dopuszczaniu nowych ludzi. Żony nadal nie były zbyt chętnie widziane, chyba na chwilę, aby ośnić urodą, ale pojawiali się aktorzy, a zwłaszcza Jaracz. Nieporównany i niezastąpiony Jaracz, który dziś byłby zapewne także wielkim aktorem filmowym, ale podówczas „szanujący się” aktor w filmie nie grał, zwłaszcza w słabym filmie polskim. Słonimski, wysoki i muskularny (był świetnym tenisistą), ale brzydki potężnie, miał niesłychane powodzenie u kobiet. Nie mogę być nazbyt niedyskretna, ale wiem dokładnie, że wiele różnych piękności warszaw-

kich, od aktorek poczynając, na paniach z arystokracji kończąc, znalazło się w jego objęciach. Kiedy raz po przyjacielsku, wyraziłam zdziwienie, że mu się tak wszystkie oddają, odpowiedział: „a bo ja je tak rozmieszam, że potem nie mają sił, aby się oprzeć”. (...)

Na starość stał się dziecinnie próżny i przechwalający każdym usłyszanym komplementem. Bywał okrutny, jako młodziutki pisarz nawet bezczelny, trochę taki warszawski łobuziak, który ciął ludzi swoim ostrym językiem, jak brzytwą. Wielu się go bało, wielu nienawidziło. On nic sobie z tego nie robił. Dostał parę razy po twarzy, ale w rezultacie to napastnik był przez niego pobity (...)

Poznałam też na „górcę” Tuwima, który był i to od razu, najsławniejszy ze wszystkich, niemal od pierwszego wiersza, wydrukowanego w studenckim piśmie „Pro Arte et Studio”. Jego „Wiosna” z miejsca narobiła wiele hałasu, wyrivano ją sobie z rąk. Poetę obławiano błotem i jednocześnie wychwalano pod niebiosa. Zresztą dalsze wiersze Tuwima, zebrane w tomiku *Czyhanie na Boga*, spotkały się z podobnym przyjęciem. Nade wszystko nie mieściło się w opinii endeckiej, a była ona, niestety, przeważająca, że tak wspaniale po polsku, tak bogato może pisać Żyd. Pisał wprawdzie również Antoni Lange i popularny Or-Ot (Opman), ale ich pochodzenie jakoś nie utkwiło w świadomości czytelników. Do opinii nie dotarło, że misterny Leśmian też był Żydem. Tuwim był jednak nazbyt widoczny, nazbyt wspaniały, nazbyt zwracający na siebie uwagę i nazbyt nowatorski, aby nie obudzić fali żydożerczej nienawiści jednych, a zachwytów, znacznie mniej licznych, z drugiej strony.

Były to czasy, jak wspominałam, kiedy panowało komiczne przekonanie, że Żyd nie może być twórczy, że mu na to nie pozwala jego rodzaj inteligencji. Ale jakże było odmówić talentu Tuwimowi i Słonimskiemu mimo kształtu ich nosów. Wymyślono więc naprędce takie pomysły: „Tuwim, to nie jest polski poeta, to Żyd piszący po polsku”. Talmudyczne, co? Tuwim nie mógł zaprzeczyć się swego pochodzenia, choćby nawet chciał (ale nie chciał). Był bardzo semicki, włosy miał zbyt czarne, oczy zbyt pałace, „szyk” trochę zbyt widoczny. Dopiero laskawa starość uczyniła jego twarz piękną. Miał myśzkę na policzku i to było przyczyną ciężkich kompleksów. Uważał, że jest odrażający i kiedy się zakochał w swojej przyszłej, ślicznej (choć może za bardzo lalkowatej) żonie, uważał, że nie ma u niej żadnego szansa, a kiedy za niego wyszła, nie posiadał się nie tylko ze szczęścia, ale i z wdzięczności. Tymczasem, nie był bynajmniej odrażający — miły, pełen wdzięku, dowcipny jak diabeł i tryskający bezustannie najprzedniejszą poezją. Mógł się podobać kobietom, ale dla niego istniała jedyna — Steficia, zimna, małomówna, bardzo zajęta swoją urodą i mówiąca z dość osobliwą dumą: „Ja wierszy Julka nie czytam”. Potem to się zmieniło, zwłaszcza po jego śmierci. Podobnie było u mojej ciotki Hertzowej, która bardzo swego Benedykta za życia lekceważyła, a po jego śmierci wręcz czciła. Tak bywa z żonami wybitnych ludzi.

Na „górkę” przychodził też Wierzyński (w owym czasie pięciu Skamandrytów było nierozłącznymi przyjaciółmi), miły i piękny i jeszcze piękniejszy od niego Iwaskiewicz, o dziwnej, jakby tatarskiej urodzie, trochę skończonych oczach, bardzo pełnych ustach i nieco tajemniczym wyrazie. Pamiętam, jak szedł ulicą Mazowiecką, jeszcze go wtedy nie znalazłam, w podartych butach, rozwianym lichym paletku, ogromnego wzrostu i zadziwiającej powierzchowności, której nie można było zapomnieć. Nie ukrywał wcale swoich homoseksualnych skłonności i był jednym z pierwszych w literaturze (w każdym razie w Polsce), który dał im wyraz w swoim utworach. To było wiadome nawet nieznanym, toteż zadziwiła interesujących się literaturą Warszawiaków wieść, że zeni się z piękną panną, w dodatku jedną z najbogatszych w Polsce, Lilpopówną. (Małżeństwo okazało się zresztą bardzo dobre i trwałe.)

Spotykaliśmy się na „górcę” nie oznaczało bynajmniej przyjaźni, czy obowiązkowego bywania u siebie. Co do mnie, to przyjaźniałam się naprawdę z Boyem (oczywiście) i z Antonim. Z Jarosławem zaprzyjaźniałam się znacznie później. Lechoń wręcz nie lubiłam. Z Tuwimem stosunki były serdeczne, bo był serdecznym człowiekiem, ale nie bliskie. Może dzieliła go od niektórych ludzi psychopatyczność jego charakteru, może wzgardliwy chłód jego żony. Niezapomniane jednak lato spędziłam z nim i z Boyem w Krynicy. Siadywaliśmy razem przy stoliku w kawiarni na deptaku, chodziliśmy we troje na spacerunki. Cóż to były za ośniewające rozmowy tych dwóch poetów! Czemu tego nie spisywałam? I tak by przepadło. Miałam zawsze poczucie niepewności i nietrwałości wszelkich zapisów, pamiętników i listów.

Pewnego dnia Antoni przyprowadził mi swoją długoletnią przyjaciółkę, ongi wielką swoją miłość, z którą, po wygaśnięciu uczuć spotykał się codziennie na długie rozmowy. Była to urocza Maria Morska, której tak poprzednio zazdrościłam zażyłości ze Skamandrytami. Nazywała się w rzeczywistości Niuta Knastrowa, była żoną docenta matematyki (późniejszego profesora), który kochał głęboko

tylko ją jedną, ale nie żądał w zamian tak zwanej wierności. Niuta była osobą pełną wdzięku, o wrażliwej, nieco cukrowej manieryczności, z którą się było łatwo żyć i przyjąć jako coś jej tylko właściwego. Wychowana w Anglii, zechciała mnie poznać z powodu mego przekładu nowel Wellsa. Twierdziła, że nigdy dotąd nie czytała przekładu swego ulubionego autora (stąd też kult Antoniego dla Wellsa), tak oddającego styl, dowcip i sposób jego pisania. Było to tym zabawniejsze, że dokonałam tego przekładu w ciąży, dla pieniędzy, nie znając prawie angielskiego. Ale muszę się sama przed sobą pochwalić, że udało mi się często znaleźć odpowiednik stylu autora (to samo powtórzyło się później z *Homo Faber* Frischa). Niuta była kobietą nie tylko miłą, ale niezwykle dobrą, ogromnie inteligentną i czytelną. To ona stanowiła źródło wiedzy dla nieco niedouczonego (ale obdarzonego nieomylnym smakiem i intuicją) Antoniego. To z rozmów z nią rodziły się owe niezapomniane „Kroniki Tygodniowe”, od których czytelnicy zawsze zaczynali, biorąc do ręki nowy numer „Wiadomości”. Miała wielkie poczucie humoru, rozmowy z nią były zabawne i rozumne. Była typem egerii, kobiety zapładniającej duchowo i intelektualnie. Lubiła działać literacko

Nie chciałam się widzieć w roli zdradzającej żony. Ale znowu moja miłość była gwałtowna, definitywna, całkowita i Boy mówił o sobie to samo. Że pierwszy raz w życiu spotyka kobietę, która mu może dać pełnię przeżycia, bo i fizyczną, i intelektualną. W jego poprzednich stosunkach zawsze jakiegoś elementu brakowało. A poza tym zaczął mnie, jak pisałam, nabierać — na starość. Opierałam się marzec, kwiecień, maj, czerwiec, a potem wyjechałam do Krynicy, chuda, blada, wymęczona sytuacją, z której nie widziałam wyjścia. No, ale Boy pojechał za mną i tam stało się to, co się stać musiało. Byłam pełna szczęścia i mówiłam sobie, że mogę ten miesiąc ofiarować sobie i jemu. Pobyt był cudowny, co dzień chodziliśmy na wielokilometrowe przepiękne wycieczki. W dodatku przyjechał Tuwim, który wprawdzie, cytując jakiegoś rosyjskiego pisarza (może Puszkina?) mówił: „Lubliu ludzi, lubliu przyrodę, no nie lubliu chodit gulat”. Ale chodziliśmy na krótsze spacerowe trójki. Co to były za rozmowy! co za gejzery dowcipu i poezji! — żyłam jak we śnie.

Wiedziałam, że to moje szczęście nie może potrwać długo — miłość do starego (nie był jeszcze stary, ale mi się tak zdawało) człowieka, to trochę, jak miłość w pobliżu pola bitwy: nie wiadomo, czy będzie trwała jeszcze jutro, czy nie

kać osobno, nie rozbijając związku Boya. Ale nie zgodziłam się na przyjmowanie alimentów od męża, a zarobić wówczas piórem było bardzo trudno. W rezultacie stałabym się w pewnym stopniu ciężarem dla Boya, którego nie chciałam niczym obarczać, żadnymi kłopotami, ani wydatkami — był w takim rozkwicie sił twórczych — uważałam, że obowiązkiem moim jest go ochraniać i nie powiększać trudności, jakie dźwigał. Zresztą, nie było mowy, żebym porzuciła Jerzego, bo była istota, którą kochałam ponad wszystko na świecie — Piotrus. Nie mogłam go pozbawić ojca, ani życia prawdziwie rodzinnego. Poza tym Jerzy nigdy by mnie od siebie nie puścił. Naprawdę, dosłownie, nie mógł istnieć bez mnie. Pamiętam, że mu kiedyś powiedziałam (nie wiem czemu, na ulicy Mazowieckiej) — może byśmy się rozeszli? Nie odpowiedział, odszedł, zostawił mnie samą na chodniku. Ale kiedy wróciłam do domu czekał na mnie olbrzymi kosz kwiatów, najdroższy i najpiękniejszy, jaki można było dostać. To była jego odpowiedź. Zresztą Jerzy dotrzymał do końca naszej przedślubnej umowy, nigdy mnie nie pytał, co mnie łączy z Boyem, skąd i kiedy wracam... Bardzo go za to szanowałam. Sytuacja nie była dla niego łatwa, bo ja z kolei nie nadawałam się do roli zdradzającej żony i nie kryłam się z moją „przyjaźnią”. Cała Warszawa o tym wiedziała. Może Jerzy liczył na podeszły wiek Boya, może nie był z natury zazdrosny, może się to sprzeciwiało jego poglądom, dość, że jak wspominałam, ani razu nie było między nami rozmowy na ten temat. I jeszcze coś, co dodatkowo komplikowało tę zawiłą sytuację: Piotrus instynktownie nie cierpiał Boya, a Boy jego. Jeżeli był jakiś antagonizm, to nie w obrębie naszych dwóch małżeństw, ale właśnie między małym dzieckiem a starszym człowiekiem. Tym bardziej mnie to dziwiło, że Piotrus był za mały, aby mieć jakiegokolwiek pojęcie o co chodzi. W dodatku był dzieckiem prześlicznym i grzecznym, wywołującym stałe zachwyty, a nigdy niechęci. A jednak Boy go nie lubił, obaj byli najwyraźniej o siebie zazdrośni.

Zaden z dwóch dorosłych mężczyzn nie chciał mnie stracić, a nie mógł mieć mnie całkowicie dla siebie. I obaj w końcu zdomowili się w tej sytuacji, biorąc z niej to, co było najlepsze. Męczyłam się — tak mi się zdaje — tylko ja. Niejedna osoba uśmieje się z tego wyznania i pożałuje Jerzego. Ale Jerzy nie zdradzał się ze swymi uczuciami. Ja też nie. Szamotałam się, jak ryba w sieci. Zrywałam to z jednym, to z drugim i za każdym razem, po jakimś czasie, każdy z nich ciągnął mnie do siebie od nowa. Czasem zrywałam z obydwojema, ale to nie trwało długo. Czasem godziłam się z obydwojema, przyjmując sytuację „jak leci”. Ale w żadnym wypadku nie zaznawałam spokoju. Chwalono powszechnie moją, modną wówczas, „węzową” linię, ale ta linia była wynikiem mego zdenerwowania i mojej udreki, z którą nie zdradzałam się przed żadnym z moich partnerów: przed Boyem, aby mu nie zatruwać „ostatnich chwil życia”, przed Jerzym, bo z nim w ogóle nie rozmawiałam na ten temat, podobnie jak one ze mną. Załatwienie tego problemu było moją osobistą sprawą. Czasem dorabiałam sobie ideologię do sytuacji, wmawiając sobie, że monogamia jest jednym z tabu, które należy zrewidować. Czasem miałam wszystkiego dosyć.

Mimo przerw w stosunkach z jednym czy drugim, jeżeli mam być szczerą sama przed sobą i patrząc wstecz na całą sprawę, widzę, że kochałam ich obu, każdego inaczej, że w gruncie rzeczy te dwa uczucia nie kolidowały ze sobą. Mogło i może to ludzi gorszyć, ale taka była prawda. Jerzy to był sojusznik życiowy, stary i niezawodny przyjaciel, ojciec mego dziecka, ważny członek rodziny. Boy to był mistrz, ośnienie, wielkie napięcie zmysłowe. Z Jerzym mogłam żyć, nie myśląc o łóżku, Boyowi, kiedy nadarzała się okazja, nie mogłam się oprzeć. Po co mam tłumaczyć — bez trudu można sobie wyobrazić, jak bogate, jak zaskakujące i wieczne nowe mogło być z nim obcowanie. Tak, że z jednej strony byłam głęboko usatysfakcjonowana, mając tych dwóch mężów (co tu kryć), z drugiej strony byłam bardzo nieszczęśliwa i niezadowolona z siebie, pozostając pod naciskiem przyjętych pojęć. Chciałam dodać „i obyczajów”, ale nie, każda prawie z moich znajomych kobiet miała takie podwójne stosunki, nie mówiąc już o mężczyznach. Tyle, że się z tym kryły, ja zaś gwizdząc na opinię, chodziłam i pokazywałam się z Boyem — niech sobie ludzie myślą co im się podoba. Wiele osób zadawało sobie, wobec tej jawności, pytanie, czy w ogóle łączy mnie z Boyem coś zmysłowego. Nie odpowiadałam na pytania, teraz na starość wyznaję. Gdybym go była spotkała wcześniej, dziesięć lat wcześniej, kiedy byłam jeszcze wolna, i kiedy pani Fusia była młoda, wtedy, kiedy poznałam Lechonia w pociągu, gdybym poszła za instynktem i przyszła do Boya, jak tego pragnęłam, wtedy zapewne byłabym monogamistką. Ale potem przyszły obowiązki i jego i moje, i już niemal po trupach moglibyśmy budować nasze osobiste szczęście. (...)

Fragmety wspomnień Ireny Krzywickiej przygotowywanych do druku przez SW „Czytelnik”. Opracowanie — Agata Tuszyńska.



rys. JULIAN ZEBROWSKI

Karnawał literacki. Od lewej: Julian Tuwim, Wacław Sieroszewski, Tadeusz Boy-Żeleński, Antoni Słonimski, Juliusz Kaden-Bandrowski, Andrzej Strug.

per procura. Usiłowała, zresztą bardzo dyskretnie, podsuwać mi tematy i rozwiązania, ale ja byłam pod przemożnym wpływem Boya i już nikt inny nie mógł mieć nade mną duchowej władzy. Oddziaływała niewątpliwie na Lilkę Pawlikowską, z którą była w bliskiej przyjaźni i która zadedykowała jej niejedną wiersz. Z czasem zaczęła pisać sama i drukować w „Wiadomościach”, jako Mariusz Dawn. Pisała dobrze, ale w tym pseudonimie znać było trochę nieodłącznej od niej samej pretensjonalności. Ta leciutka zresztą, pretensjonalność (cecha, której u innych nie znoszę) była, jak wspominałam, jej własna, nieco osobliwa, odrębna i dlatego trzeba się było z nią pogodzić, jak na przykład z kolorem jej włosów, tlenionych domowym sposobem, na żółto. Ale była wesoła, miła, mądra, ładnie śmiejąca się drobnymi ząbkami i nie odbita żadną sztancą. Była sobą. Tak to ten szczęśliwy dla mnie rok 1928 dał mi nie tylko przyjaciół, ale i przyjaciółkę.

Teraz zaczynam pisać o rzeczy bolesnej, wstydlivej, olśniewającej i trudnej do wytłumaczenia, o moim związku z Boyem. Jakiś się poznaliśmy, jak on przyszedł do mnie z pierwszą wizytą, jak szliśmy po paru dniach razem przez most Poniatowskiego w nowych kapeluszach, jak bezwiednie zaprowadziliśmy się na „górkę” w Ziemiańskiej, wszystko to opisałam. Teraz przechodzą rzeczy bardziej intymne, skomplikowana sytuacja, z której nie umiałam wybrnąć tak, aby być w zgodzie z samą sobą.

Wspominałam już, że Boy zjawił się w moim życiu w bardzo nieodpowiednim momencie. Wypłynęliśmy z Jerzym, zdawało się, na spokojne wody rodzinnego życia, z uroczym synkiem, pieniędzmi, które nagle poczęły się nam sypać na głowę. I w takiej chwili burza, piorun, miłość, niepotrzebna, trudna, powikłana, bo musiały w niej uczestniczyć postronne osoby. Bronilałam się więc, jak mogłam, nie chcąc burzyć wszystkiego, co niedawno zbudowałam.

spadnie zaraz cios. Darowałam sobie ten radosny miesiąc (...). Poza przedpołudniowymi spotkaniami z Tuwimem, całe dni spędzaliśmy we dwoje — nie potrafię tego opisywać. Wołam zamilczeć. Po miesiącu Boy wyjechał, wróciła codzienność i, jak dalece żyłam wówczas we śnie świadczy, że nie potrafię powiedzieć, czym się skończyło owo lato. Nie pamiętam.

Potem wróciłam do Warszawy i tam okazało się, że nasza miłość trwa dalej, jeszcze intensywniejsza, niż na początku, bo byliśmy coraz bardziej zbratani w pracy literackiej, we wspólnym przemyślowaniu na tematy przemian obyczajowych we współczesnym społeczeństwie, a potem we wspólnej walce o te sprawy, które wówczas wydawały się jednym skandalicznym, a innym śmiesznym i wulgarnym, ale o których myśmy wiedzieli, że są słuszne. Nikt nas z tego naprawdę nie rozliczył, ale byliśmy pionierami w tych sprawach. Na szczęście biografowie i krytycy wiedzą na ten temat coś niecoś o Boyu. Nie wiedzą natomiast nic o mnie, a tymczasem, to ja wymyśliłam, że należy pisać o tajnych poronieniach i o zapobieganiu ciąży. Mogłam być w tej walce tylko kompansem, ale i ja odebrałam tęgie lanie. Zostaliśmy zjednoczeni we wspólnej kampanii, a także w wymysłach kołtunów i wsteczników różnego autoramentu, bo i lewica wrzeszczała chórem z prawicą. Jednak my robiliśmy to, co uważaliśmy za słuszne.

Ale ciągle wybiegam naprzód. Tymczasem wraz z powrotem z Krynicy do Warszawy, wszystko zaczęło się na nowo, ku mojej udreke. Tak, udreke. Zupełnie nie umiałam tej sytuacji rozwiązać i nawet teraz, kiedy myślę o niej, nadal nie wiem, jak należało postąpić. Zerwać z mężem, osierocić Piotrusia i rozwalić małżeństwo Boya? Powiedział mi przecież: „Tak byłoby dobrze pobrać się z tobą, Iruszko”. Ale nie zrywa się małżeństwa po dwudziestu pięciu latach pożycia. Uważałam to za niewłaściwe i za niehonorowe. Sam Boy, gdyby to postanowił unieszczęśliwić nie tylko żonę, ale i siebie. W dodatku była to kobieta, którą oboje ceniliśmy i szanowaliśmy. Mogłam rzucić męża i zamiesz-

Rechot i kumkanie

czyli nowa zdrada klerków

Dokładnie miesiąc temu, w krakowskim klasztorze jezuitów odbyło się spotkanie grona Pinów (polskich intelektualistów) zaproszonych przez Jerzego Turowicza. Zebrani zgodnie i wieloręcznie wyprodukowali oświadczenie o polskim życiu publicznym, w którym wyrazili niepokój z powodu widocznych zagrożeń przyszłej demokracji w Polsce. Odwołano się, jakżeby inaczej, do wielowiekowej tradycji polskiej tolerancji oraz do młodego wiekiem ethosu „Solidarności”. Rzecz jednak ciekawa, że obawom przed wzrostem nastrojów ksenofobicznych, nietolerancji czy przed instrumentalnym traktowaniem Kościoła przez nową prawicę towarzyszyło wyraźne zdziwienie erozją autorytetu „Solidarności” w życiu politycznym. Idea „Solidarności” to przecież właściwy kapitał narodowy współczesnej, odradzającej się Polski. Pisał nasz żelazny zestaw dyżurnych intelektualistów.

Niepokój można zrozumieć, a nawet go podzielać. Co więcej, trzeba być przygotowanym na to, że może być o wiele gorzej niż spodziewają się reprezentanci Pinów. Fala nacjonalizmów w naszej części Europy może narastać, a Polacy, znani z lekceważenia własnych interesów, mogą objawić się światu w pełnej krasie swojego zapyziałego, prowincjonalnego antysemityzmu, o który już dawno byli podejrzewani, a który skutecznie zablokuje nasze wysiłki połączenia się na powrót z cywilizowanym światem. Jak uczy historia, wychodząc z kryzysu gospodarczego można najwyżej nie trafić w kolejny demokracji... Zresztą, „Gazeta Wyborcza” potrafi komponować kolumnę: obok krzyku Pinów zaniewpokojonych jednostronną wizją Polski umieszczono wówczas spokojny, pewny swej racji głos biskupa Alojzego Orszulika, który stwierdza, że religia musi wrócić do szkół, gdyż Polska jest katolicka (czytaj: nasza). Oto dwugłos nowej epoki. Łąbedzi śpiew intelektualistów i rzeczowe posunięcia Kościoła, które przetwarzają rzeczywistość społeczną.

Powróćmy jednak do wspomnianego przed chwilą zdziwienia szacownego grona Pinów tym, że tak niespodzianie kurczą się możliwości oddziaływania autorytetu „Solidarności”. Zgodźmy się co do meritum z cytowaną grupą i zadajmy naiwne pytanie: kto zawinił? No, właśnie: kto zawinił? Czy będziemy zrzucać wszystko na wymyślone cechy narodowe, braki i wady w demokratycznej edukacji większości? Gdzie można w ogóle szukać winnych tej sytuacji? Otóż, odpowiedź na to pytanie nie jest trudna, natomiast jest niezwykle ważna. **Winni są bowiem wśród nas.** Wśród nas, to znaczy także wśród autorów krakowskiego apelu. To główni twórcy i reprezentanci polityki solidarnościowej z ostatnich lat (od jesieni 1986 roku) są współwinnymi sytuacji. Albowiem gdy forsuje się politykę kompromisu politycznego wobec głównego przeciwnika, którym byli bez wątpienia komuniści, nie można jednocześnie lekceważyć i bezwzględnie spychać na margines pokrewnych, lecz różniących się poglądami politycznymi ugrupowań opozycyjnych. Siła dzisiejszych ekstremów wyrosłych na obrzeżach antykomunistycznej opozycji (casus Łopuszańskiego i mu podobnych w OKP czy Andrzeja Gwiazdy bądź Jurczyka w „Solidarności”) wzrosła na niechęci do gdańsko-warszawskiej linii politycznej Związku i to nie tyle z powodu ugody z komunistami przy Okrągłym Stole, ile z powodu monopolizowania owoców ośmiu lat oporu społecznego i braku „okrągłego stołu” opozycji przed przystąpieniem do ostatecznych negocjacji z komunistami. Skandalem politycznym w wielu regionach był także sposób dobierania, wiosną 1989 roku kandydatów na posłów i senatorów według klucza i przewidywanej dyspozycyjności politycznej przyszłych członków parlamentu. Dorzucmy do tego, bodaj symbolicznie, Wałęsę zmuszającego słuchaczy na spotkaniach do praworęcznej gimnastyki poparcia dla swojej osoby i... oto mamy drobną część **edukacji politycznej**, którą zaaplikowali reprezentantom wszystkich pozawałęsowskich sił politycznych jej główni architekci i nagłaściciele. Jak delikatnie postępowali ich wierni naśladowcy w regionach, pozostawmy domyślności lub wspomnieniom czytelnika...

Stan zamieszania umysłów i kogucie wystąpienia zżeranych ambicją przywódców małych partii i grup politycznych (na przykład casus Korwina-Mikke) to w istocie efekt poczucia odrzucenia, które odbierane jest jako element gry najsilniejszego partnera w celu uzurpacji tytułu zwycięzcy. Kompromis Okrągłego Stołu budowano bardzo ostrożnie, gdyż nie lekceważono przeciwnika, zlekceważono natomiast dotychczasowych sojuszników w podziemnej walce. Przypomnijmy, by nie pozostawać gołosłownym, że obawiające się wystąpienia ulicznych kierownictwo „Solidarności” wysyłało dramatyczne apele w świat po każdym siłowym rozbić demonstracji, które często organizowały radykalne odłamy ruchu w rodzaju „Soli-

darności Walczącej”. Apele kierowane w lud i świat wzbogacano zarazem dyskretnie o informacje o tym, że na przykład wspomniana „SW” jest organizacją terrorystyczną lub też, że tak naprawdę walczy ona jedynie z „Solidarnością”. Budowano więc ogólny kapitał polityczny z wysiłku przeróżnych sił, organizacji i jednostek, na co ma wskazać wybrany przykład, ale przypisywano go wyłącznie własnym zasługom. Autorzy sformułowań przytoczonych w powyższym przykładzie są wśród sygnatariuszy krakowskiego oświadczenia. Dziś dziwią się narastającemu zniecierpliwieniu, wezwaniom do odwetu na właścicielach PRLu, radykalizmowi prawicowych bądź anarchistycznych haseł i wszechobecnemu ekstremizmowi politycznemu. Oto, jak zwykle, ojcowie frustracji nie poznają własnych dzieci!

Nie jest przyjemnie oglądać, jak organizacje w rodzaju „Solidarności Walczącej”, by poprzestać na tym jednym przykładzie, przez całe lata skupiające odważną i patriotyczną młodzież, dryfują dzisiaj ku zaułkom coraz bardziej populistycznego radykalizmu. Pomijane przez lata milczeniem, z powodu niezależności od kierownictwa podziemnej „Solidarności”, stają się dziś skupiskami hataśliwie wykrzykiwanych resentymentów. Jednym ze źródeł tego hałasu jest wspomniane długoletnie a niezbyt szlachetne milczenie o tych, którzy mieli inne poglądy na temat drogi ku niepodległości. Tylko w Polsce możliwe jest, by do dzisiaj nikt z ludzi nowej władzy, ani Wałęsa, ani Geremek, ani nawet Mazowiecki nie spotkał się z wszystkimi przywódcami bądź reprezentantami głównych sił politycznego podziemia lat osiemdziesiątych przy jednym stole.

przed kamerami telewizji. Gdzież indziej też możliwe byłoby, aby bez skrupułów, pod szczytnym hasłem „Ethos Solidarności”, spotkali się sami ze sobą reprezentanci tego tylko odłamu słynnego ruchu społecznego, który przejął władzę?

Dziś zmartwiony Pin woła ostrzegawczo: uwaga! siły ciemne i wsteczne, populizm i żądza władzy za wszelką cenę, antysemityzm i niskie instynkty! Innymi słowy: uwaga na prymitywny i coraz głośniejszy rechot po brzegach stawu!

Z kolei Pin z „Tygodnika Solidarność” pisma bez umiaru dokuczającego ostatnio polskim Europejczykom, chce być sprytniejszy. Wie, że czytelników apelu może zdziwić brak w nim prostego pytania o przyczynę krytykowanego stanu rzeczy, najzwyczajszego — **dłaczego** tak się dzieje? Wymyśla więc naprędce odpowiedź, traktując apel jako atak na swego Marszałka. Żeby było śmieszniej — używa tych samych epitetów (zdziczenie, chamstwo, przestępczość, dżungla, gigantyczny śmietnik — biedni Polacy!) — tyle tylko, że wymyśla ich adresata z dala od siebie i za wszystko wini... nieletnich.

Za późno, Panie i Panowie! Za późno na to szlachetne kumkanie, na oświadczenia, które są tylko spóźnioną paradą słów, podczas gdy czyny już dawno zostały spełnione. Upajając się własnymi racjami, a pomniejszając racje innych obudzono żywioły, które mogą nam już nie dać zasnąć. Ot i wszystko.

Zapyta ktoś, no dobrze, ale co robi to sprawozdanie z rechotu wypełniającego staw polityczny w tygodniku literackim? Cóż, tekst zatroskanych intelektualistów jest, poza wspomnianymi grzechami, nieźle napisany. Kumkanie bowiem tym różni się od rechotu, że ma przynajmniej jakiś styl. A poza tym, uważne czytanie podobnych krakowskiemu oświadczeniu mini-esejów ma zawsze jakiś sens. W tym wypadku zamyka się on w pytaniu o **świadomość autorów oświadczenia, świadomość konsekwencji własnego postępowania i jego związku z kolekcją pięknych słów.** Jest to pytanie, które znów, jak przed laty, kieruje nas w stronę etyki.

12.06.1990

Rafał Grupański

Błękitna marynarka Sartre'a

Polska, latami obmyślając swe pozy, żyje nadzieją na cud. Jak zawsze, brakuje nam racjonalnego sposobu wyrażania myśli. Dekady kłamstwa i pustostwa zniweczyły umiejętność rozpoznawania rzeczywistości. W atmosferze katastrofy nastąpiło skażenie języka; całe chmary spłyciarzy plądrują bez przeszkód życie umysłowe, perorując o demokracji w taki sposób, jakby pojęcie to wymyślono przed chwilą, zaś wątpliwości rzadko kiedy kłopotczą ich mierną inteligencją, która grzęźnie w przerażającej nijakości. W Polsce istnieje niedobór rozumu. Czasami odnosi się wrażenie, że

jednych nadzorców zastąpili ich skrupulatni uczniowie. Zapomina się, że właśnie chaos i przesylenie informacjami powinny skłaniać intelektualistę, aby był tym, który wyjaśni, iż nie wszystko ulega rozbić i rozproszeniu. — Sprzedajemy się codziennie za coraz niższą cenę — powiedział pisarz, który mieszkał w norze i żywił się plackami smażonymi na najtańszym oleju. W sztuce, jaką zamierzał napisać, mieli występować aktorzy omotani bandażami. Pełno obok nas ludzi wywłaszczonych z tożsamości. Młodzi, zdesperowani i zmęczeni żyją na krawędzi, samotni, zbuntowani i nieobliczalni. Wielu wierzy, że tylko w ten sposób uda się im nawiązać kontakt z samym sobą.

Kraj wyciągnął zły los na loterii historii. Polska specjalność — myślenie rocznicowe — stworzyła mentalność akademii w hołdzie lub dla uczczenia, której istotę stanowi nie dociekliwość, lecz celebrowanie formy oraz nadmierna kurtuazja i pobłażliwość wobec faktów i ludzi. To okolicznościowe uprawianie myślenia nie wymaga ani głębi, ani wysiłku. Wyrozumiałe dla półprawd przywiązuje ono nadmierną wagę do baseł, dlatego rzadko kiedy demaskuje kłamstwo.

Pesymizm i poczucie dystansu pozostają cechami ożywionego intelektu. „Naga władza może fascynować pełnego temperamentu akademika i mandaryna” — ostrzega w eseju Georg Steiner, przypominając, że Freud był sympatykiem Mussoliniego, na szczęście do czasu. Dziesiątki myślicieli i pisarzy wylewało lzy nad trumną Stalina. Platon został doradcą sycylijskiego despoty. Rozdział o głupocie filozofów i pisarzy w sprawach politycznych nie zna granic. Wolter nienawidził Żydów. Sartre przez długie lata usprawiedliwiał istnienie Gułagu i dobrze wiedząc, co dzieje się w Chinach, fałszował wiedzę na ich temat, od czasu gdy wystroił się w błękitną marynareczkę à la Mao, w której przypominał clowna z podrzędnego cyrku.

Europa zaprowadzała ład, ale nigdy nie był to paraliż i zastój. Do Polski można odnieść zdania Saula Bellowa, którymi opisywał dzisiejszą Jerozolimę: „Zamiast osiągnąć jakąś jasność, klarowność, człowiek zaraża się tu nieporządkiem”.

Włodzimierz Paźniewski



EDWARD DWURNIK